

# PLATZ

magazyn kulturalny Platz  
wydanie zero (maj/czerwiec 2015)

# PLATZ



8 marca 2015 roku. To wtedy zaczęliśmy pracować nad stworzeniem nieszablonowego, nowoczesnego i najfajniejszego studenckiego magazynu kulturalnego w polskiej sieci. Godziny myślenia nad nazwą, poszukiwanie najlepszej ekipy, szukanie inspiracji u specjalistów z dziedziny mediów oraz pomysłów na nietypowe cykle, wydobywanie z całej redakcji tego, co najlepsze i najciekawsze, walka z zepsutymi laptopami, a wreszcie samo pisanie oraz korekta tekstów zajęły nam dwa miesiące. Startujemy z Platzem.

Uniwersytet Śląski, Katowice. Nie byłoby naszego magazynu, gdyby nie szalone pomysły pracowników Wydziału Filologicznego tej uczelni. Bo stworzenie w 2014 roku kierunku „sztuka pisania” było jednym z takich pomysłów. Pierwszy polski „creative writing” przyciągnął kilkudziesięciu ciekawych i w dużej większości zdolnych, młodych ludzi. Oraz kilkunastu geniuszy, z którymi rozmowy dawały radość i satysfakcję, którzy nawet nieinteresujący mnie temat potrafili „sprzedać” tak, że słuchałem ich z największą uwagą, którzy zaskoczyli mnie swoimi zainteresowaniami i spojrzeniami na kulturę. I to właśnie tych geniuszy wybrałem do współpracy. W tak zwanym międzyczasie dołączyło do nas kilka osób z siostrzanej filologii polskiej i wzmocniło skład magazynu. Jestem pewien, że nasza ekipa zaskoczy Was nie raz.

Platz czeka jeszcze wiele zmian. W następnej odsłonie takiego „wstępniaka” napisze redaktor naczelny z krwi i kości. Na pewno dołączy do nas jeszcze kilka ciekawych osób. Potraktujcie, proszę, to wydanie jako wydanie numer „zero”. Chcemy nim pokazać, na co nas

stać. Co będziecie mogli w pełnej krasie zobaczyć od września. Naprawdę warto poznać już nas teraz. Nie tylko z hipsterskich pobudek („znałem to, zanim stało się popularne” ;)).

Chcemy być dla Was offline. Do poczytania zawsze - w pociągu, autobusie, wygodnym fotelu, czy na plaży. Stąd wydanie w formacie .pdf. Dopracowane graficznie, dopieszczone korektorsko, idealne na wakacje.

Niemal 20 niesamowicie uzdolnionych osób, które dają nadzieję na rozwój i promocję kultury w Polsce. 3 najwspanialsze i najbardziej wnikliwe redaktorki. Kilka „dobrych duchów” projektu, które motywowały w chwilach zwątpienia i krytykowały, kiedy było to potrzebne. No i ja. Kuba Jeziorek, realizator tego całego zamieszania. Wszyscy zapraszamy na Platz.

Wydanie zero magazynu kulturalnego Platz stworzyli dla Was: Agnieszka Błędowska, Ilona Chylińska, Magdalena Eliza Donder, Michał Harat, Katarzyna Hyla, Eta Kalamorz, Michał Kasprzyk, Magdalena Herman, Katarzyna Koza, Kamila Latała, Marta Klon, Aleksandra Młyńska, Patrycja Pazik, Maria Puch, Piotr Piekutowski, Justyna Szymańska, Dagmara Adamczyk i Martyna Kula. Redaktorem naczelnym jest Kuba Jeziorek. Dziękujemy za pomoc Panu Konradowi Kęderowi oraz Martynie Tarnawskiej.



Kuba Jeziorek

# Literatura

## Platz czyta

To nie są moje wielbłądy

Eta Kalamorz

Złote Brighton

Katarzyna Hyla

Nieznośna lekkość bytu

Eta Kalamorz

Górny Śląsk - świat najmniejszy

Ilona Chylińska

## Dewizkowy Czerwony Kapturek

Aleksandra Mtyńska

## geneza: Kot w butach

Patrycja Pazik

## Asymetria Adama Zagajewskiego

Magdalena Eliza Donder

# Muzyka

## Platz słucha

Kyte - Love To Be Lost

Kuba Jeziorek

Mary Komasa - Mary Komasa

Martyna Kula

Król - Wij

Martyna Kula

Fever Ray - Fever Ray

Martyna Kula

## jeszcze raz - cykl o coverach

Agnieszka Będowska

# film

## Platz ogląda

Whiplash

Aleksandra Mtyńska

4

5

7

8

10

12

14

18

23

24

25

27

28

30

33

34

Mad Max 4

35

Dagmara Adamczyk

Zapaśnik

37

Maria Puch

## najgorsze filmy świata

39

Marta Klon

## chińskie bajki - cykl o anime

43

Kamila Latąta

# gry video

## Platz gra

48

Life is strange

49

Kuba Jeziorek

Crusader Kings II

50

Michał Kasprzyk

## piksel - cykl o historii gier video

52

Michał Harat

# sztuka

## Sram tą sztuką

55

Piotr F. Piekutowski

## Art is beautiful, artist must be beautiful

56

Justyna Szymańska

# felieton

## Parę kroków wstecz...

58

Magdalena Herman



To nie są  
moje wielbłądy

Złote Brighton

Nieznośna  
lekkość bytu

Górny Śląsk -  
świat najmniejszy

PLATZ

czyta

# PLATZ



## Aleksandra Boćkowska To nie są moje wielbłądy

Nie czytam książek o modzie. Nudzą mnie te wszystkie ładnie wydane albumy o Coco Chanel czy Yvie Saint Laurencie, w których więcej jest zdjęć niż treści. Nudzą mnie też poradniki, w których rodzime celebrytki radzą paniom o szerokich biodrach zakładać spódnice w kształcie litery A, a french chic sprowadzają do noszenia dzinsów i koszulek w paski. Dlatego, gdy kilka miesięcy temu Wydawnictwo Czarne ogłosiło, że już wkrótce wyda książkę o modzie w PRL-u, byłam zaintrygowana. Moda w PRL-u? Serio? Coś takiego w ogóle istniało?

Dla większości dwudziestolatek brzmi to nieprawdopodobnie – PRL kojarzy się z kolejkami po papier toaletowy, kartkami na cukier i ogólnopolskim wzdychaniem, że „to strasznie ciężkie czasy były”, więc gdzie jest tu miejsce na modę? Okazuje się, że było go sporo – tuż po wojnie bardzo szybko chciano wrócić do normalności, a coś tak błałego jak ubiór było jednym z jej wyznaczników.

Najważniejszym miejscem dla wielu był bazar nazywany „ciuchami”. Na „ciuchach” można było spotkać artystów, żony dyrektorów i wycieczki z całego kraju. Miejsce, o którym niejedni mówili, że to składowisko piękna, pożywienie dla estety, wreszcie – że to okno na Zachód. Nikogo nie dziwiły gwiazdy estrady przymierzające buty i sukienki czy burkliwe i nieprzyjemne handlarki, które sprawnie pozbywały się niezdecydowanych klientów. Na placu Szembeka mieszały się stanowiska i poglądy, a ludzi łączyła rzecz nadrzędna – stopy ubrań, butów i dodatków pochodzących z zagranicznych paczek. Oprócz

„ciuchów” był jeszcze sklep „Feniks” założony przez Jadwigę Grabowską, wzór przedwojennego szyku; była „Moda Polska”, nieosiągalna elegancja, wzbudzająca tęsknotę i zazdrość wielu. Wreszcie był i „Przekrój”, a wraz z nim Barbara Hoff, dziennikarka z lekkim piórem, która dziś nie chcąc mówić o dawnych czasach, powtarza tylko, że „moda jest ważna, gdy o coś walczy”. W magazynie „Ty i Ja”, prowadzonym na światowym poziomie przez Teresę Kuczyńską, modzie poświęcano tyle samo miejsca, co literaturze. W Polsce obok zdobywania przydziału papieru na wydanie gazety, działo się wiele fantastycznych rzeczy. I o tym właśnie są „To nie są moje wielbłądy”.

Peerelowski świat mody, opisany przez Boćkowską, to nieustanny stan wojny, wieczne starcia pomiędzy projektantami, którzy chcieli widzieć Polaków ubranych jak mieszkańców Paryża czy Londynu, a władzą, która traktowała odzieżowy przemysł jako charakter użytkowy. Dysonans pomiędzy dążeniami władzy do wypełnienia kolejnego planu pięcioletniego a potrzebami zwykłych ludzi, którzy poprzez ubiór chcieli podkreślić własną indywidualność i zaspokoić potrzeby estetyczne, był ogromny. Okazuje się, że coś tak trywialnego jak walka o guziki mogło być jednocześnie walką opozycyjną, a wykrój nowej spódnicy był wąską szczeliną w ciasnym nakryciu komunistycznej propagandy, przez którą widać było wyteskniiony Zachód.

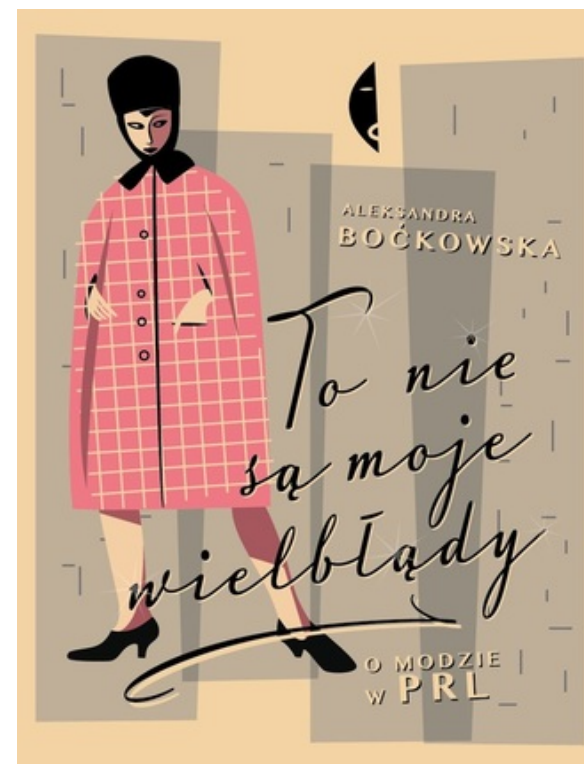
Książka Boćkowskiej doskonale pokazuje, że potrzeba indywidualności od zawsze towarzyszyła ludziom. Gdy system narzuca nie tylko ideologię, ale także ubiór, trzeba lawirować pomiędzy surowym okiem partyjnej cenzury a Paryżem, dając zarówno partii jak i ludziom to, czego pragną. Wbrew pozorom, nie jest to jednak



Eta Kalamorz

książka o projektach, wykrojach i materiałach – to coś znacznie ważniejszego – to doskonały reportaż o ludziach, świetne poparcie tezy, według której moda to przede wszystkim ludzie. Projektantka mody Jadwiga Grabowska w kostiumie Chanel z elegancką torebką, która równie dobrze mogłaby być redaktor naczelną „Vogue’a”. Kolejna – Barbara Hoff – która pisząc o modzie w „Przekroju”, pokazywała milionom Polek, jak ze spodni zrobić spódnice, a później projektowała kolekcje, o których marzyło pół Polski. To tylko dwie z wielu postaci pojawiających się w opowieści Boćkowskiej. Cała rzesza osób tworzących polską modę – od projektantów i modelek do krawcowych – to miłośnicy piękna, którym trudno było się odnaleźć w komunistycznej rzeczywistości. Ich działania były odpowiedzią na potrzeby zwykłych ludzi, którzy ponad wszystko pragnęli normalności zahaczającej o odrobiny przedwojennej elegancji i nowoczesnego, zachodniego sznytu.

„To nie są moje wielbłądy” to książka napisana na przekór tym wszystkim, którzy mówią, że o modzie nie da się nic ciekawego napisać. Boćkowska zdecydowanie nie poświęca uwagi fasonom i detalom, zamiast tego skupia się na tych, którzy to wszystko tworzyli. Godziny spędzone na rozmowach, ogromna ilość przejranych dokumentów i niesamowicie barwny reporterski język składają się na wyjątkowość tej publikacji. Boćkowska to autorka, której nie wystarczyły ogólniki o ówczesnej kreatywności, spódnicach z tetry i kolejkach po projekty Barbary Hoff. Ilość informacji jednak nie przytłacza, a zamiast tego uzyskujemy obraz, który nie jest tak monochromatyczny jak większość opowieści o czasach PRL. Jeżeli dodamy do tego niezwykle udaną i przemyślaną szatę graficzną, możemy być pewni, że to naprawdę świetna pozycja. Można polecić ją nie tylko tym, którzy są zainteresowani modą czy PRL-em, ale także tym, którzy cenią sobie dobrze napisaną historię-reportaż, z której można się wiele dowiedzieć. W dzisiejszych czasach, gdy moda jest fast, a stanie w kolejkach związane jest jedynie z premierą kolejnej kolekcji wieńczącej kolaborację H&M z projektantem z wyższej półki, ta książka może być również wspaniałym pretekstem do rozmyślań na temat mody, będącej efektem przemian społecznych i odzwierciedleniem nastrojów społeczeństwa.





# PLATZ



Jacek Natanson  
Złote Brighton

„Złote Brighton” Jacka Natansona jest książką prawie zupełnie nieznaną. Została wydana przez Wydawnictwo Literackie w 1986 jako część serii Fantastyka Polska, ale nie jest to klasyczne science-fiction. Nie jest to także powieść realistyczna z elementami fantastyki – całość bardziej przypomina zapis psychodelicznego snu, w którym granice między tym co prawdziwe, a tym co nieprawdopodobne się zacierają. Kiedy przeczytałam ją po raz pierwszy zdziwił mnie brak recenzji i dłuższych niż kilkuzdaniowe opisów w Internecie. Moim zdaniem „Złote Brighton” jest powieścią naprawdę nieszablonową i zdecydowanie zasługuje na ponowne odkrycie i docenienie przez czytelników.

Jest środek lat osiemdziesiątych. Główny bohater, dwudziestopięcioletni Artur Leski, wybiera się do Anglii dzięki fundacji „Złote Brighton”. Jest jednym z trojga młodych ludzi z Polski, którym udało się przejść wielopoziomowe eliminacje i egzaminy. Artur nie może się doczekać spotkania z angielską kulturą, o której ma wysokie mniemanie, a także zakosztować trochę wolności z dala od siermiężnej rzeczywistości PRLu. Już na samym początku ich drogi pojawiają się przeszkody, zmieniają się numery i godziny lotów, wszystko odbywa się w biegu i częściowej dezorientacji. Niepewność i zmienność cechuje rzeczywistość miejsca, do którego wkrótce przybywają.

Powierzchnie Brighton jest sielankowym angielskim miasteczkiem - rzędy kamiennych, schludnych domów, ulice na planie półksiężyca, uroczne stare puby i poczty. Na niskich murkach, otaczających wypielegnowane ogródki, siedzą koty. Tyle, że koty na pyszczkach mają założone kagańce i są przypięte łańcuchami. Słynna angielska policja przypomina trochę służby

bezpieczeństwa, a autobusami nie można nigdzie dojechać. Odległości, wielkość budynków i drogi ciągle podlegają zmianom, nie można kupić aktualnego planu miasta. Zachowania kursantów i profesorów wydają się być podporządkowane jakimś tajemniczym regułom.

Początkowo Artur jest zagubiony, jednak wrodzony spryt i instynkt szybko pozwalają mu się przystosować. Wnika w dziwną strukturę Brighton i coraz sprawniej porusza się w świecie dziwnych układów i zależności. W mieście cały czas odbywa się coś na kształt wymiany informacyjno-towarowej. Wielu bardzo potrzebnych rzeczy nie można normalnie kupić w sklepie za pieniądze, za to można je zdobyć w zamian za przystugi i informacje. Można tu się dopatrzeć satyry na PRL, gdzie „załatwianie” było nieraz jedynym sposobem zdobywania pewnych rzeczy.

Tym, co zachwyciło mnie w „Złotym Brighton” jest niesamowita atmosfera przywodząca na myśl sen. Zwyczajne wydarzenia płynnie przechodzą w surrealistyczne wizje i wspomnienia, wyobrażenia oraz fakty mieszają się ze sobą, rzeczywistość zakrzywia się, czas jest pojęciem względnym. Sposób odbioru świata też jest taki jak we śnie - nic tutaj nie dziwi, nawet najbardziej absurdalne sytuacje są przyjmowane za naturalne i normalne.

Książka Jacka Natansona ma trochę ponad dwieście stron, co pozwala na wniknięcie w niesamowity świat Brighton w ciągu jednego popołudnia. Powinno się spodobać wszystkim fanom fantastyki i poszukiwaczom ciekawostek literackich.

Prawie każdemu przyśnił się kiedyś niezwykły sen, którego nie udało mu się w całości zapamiętać, ale który zostawił po sobie ulotne wspomnienie przeżycia wielkiej przygody. „Złote Brighton” daje możliwość doświadczenia tego ponownie. Tym razem bogatego w szczegóły, niebanalne dialogi, kompilację mitów, legend i przesądów.



Katarzyna Hyla

# PLATZ



## Milan Kundera Niežnośna lekkość bytu

„Niežnośna lekkość bytu” Milana Kundery to książka, która została wydana na długo przed moim urodzeniem, ale i tak poprzestawiała mi całe życie. Sam Kundera, Czech, a więc z założenia człowiek niebagatelny, pewnie nie ma o tym pojęcia. Znam mnóstwo skrzywdzonych przez niego ludzi, którzy woleliby „Niežnośnej...” nigdy nie czytać, bo oszczędziłoby im to wiele smutku i zgrozot.

Założenie jest proste: mamy bohaterów, Tomasza, Teresę, Sabinę i Franza. Poznajemy ich historie, ale to nie jest najważniejsze w tej wielowarstwowej powieści. Bohaterowie są tutaj tylko pretekstem do rozważań o kondycji współczesnego człowieka. Łatwo będzie się w tym odnaleźć, bo Kundera pisze o życiu, o śmierci, o emocjach, a nawet o wpływie Historii na życie jednostki. Element Historii (pisząc o niej w kontekście Kundery używanie wielkiej litery to jedyny właściwy zapis!), decyzje polityczne jako tło to niemal stały punkt w twórczości Kundery – nawet jeśli pisze o wydarzeniach dawno już zapomnianych, to jego pisanie jest uniwersalne i wciąż aktualne.

Może powinnam była zacząć od tego, że „Niežnośna lekkość bytu” to powieść, z klasyfikacją której przeciętny czytelnik będzie miał problem. Kundera wyłamał się z dobrze znanych i oswojonych ram powieści – nie ma tu prawdziwego początku, nie ma też prawdziwego zakończenia, a narrator wydaje się miejscami mówić za dużo i nie na temat. Czy na pewno? Powieść ta ma sprytną konstrukcję, w której ważniejsze od zakończenia jest to, co dzieje się pomiędzy. Wplatanie esejów w treść jest typową cechą twórczości Kundery.

Momentami można zgubić się w słowach, faktach i pobocznych wątkach – mnogość poruszanych przez niego tematów jednocześnie drażni i zostawia niedosyt. Wiem, że niektórych odstraszą filozoficzno-muzyczne wtrącenia – „Niežnośna lekkość bytu” to nietypowa powieść, to nie romans, który zaczyna się ich spotkaniem, a kończy ślubem lub śmiercią. Woląabym nazwać to intelektualną zabawą, której nie można się oprzeć. Łatwo zauroczyć się inteligentnym, zdystansowanym tonem Kundery i dać mu się prowadzić, zostawiając za sobą coraz więcej pytań. Kilka wątków splecionych ze sobą, przerywanych eseistycznymi rozważaniami; siedem części, które w całość wiąże kilka snów i słów-kluczy takich jak: ciężar, lekkość, dusza, ciało, tęsknota czy kicz. Te słowa-klucze to filary, to fundamenty na których Kundera buduje całą powieść. Historia Tomasza, Teresy, Saby i Franza rozgrywa się gdzieś pomiędzy rozważaniami o ciężarze i lekkości. Mniej istotne wydają się ich działania same w sobie w kontekście tego, co autor naprawdę próbuje przez nie przekazać. Przykładowo śmierć Tomasza i wydarzenia rozgrywające się w Afryce są doskonałą okazją do rozważań na temat tego czym jest kicz. Tak samo dzieje się w przypadku opisu romansów Saby, które prowadzą do tego, że zastanawiamy się nad czymś, co dalekie jest od życia erotycznego tej bohaterki – Saby nie przygniata ciężkie brzemie życia, ale właśnie jego niežnośna lekkość, fakt, że nie ma przed sobą celu, a jedyna pewność w jej życiu to pewność otaczającej ją pustki. Rozważania o bezcelowości i bezpowrotności ludzkiego życia mieszają się z muzycznym motywem „Einmal ist keinmal” i zostawiają nas gdzieś na granicy rozczarowania, pogodzenia się z tym i współczucia.



Eta Kalamorz



Wszystkie historie dzieją się na tle wydarzeń Praskiej Wiosny w 1968 roku. Kundera ukazuje to z różnych perspektyw – dla każdego z bohaterów ma to inne znaczenie, inne rzeczy ich dotyczą, inne dotykają. Momentami jednak tło staje się tym, co kieruje ich losem – autor pokazuje w ten sposób jak decyzje polityczne mogą wpłynąć na życie jednostki. Człowiek jest bezsilny wobec teraźniejszości, znacznie większej, pochtaniającej państwo czy kontynent – jest jedynie przedmiotem, który można przestawić z miejsca na miejsce, jeżeli nie wpisuje się on w odpowiedni schemat. Tak stało się w przypadku Tomasza, który z pozycji cenionego chirurga został zdegradowany do kogoś, kto zajmuje się myciem okien. W podobnej sytuacji znalazł się również sam Kundera, który został usunięty ze stanowiska wykładowcy uniwersyteckiego. Dziś łatwo jest dostrzec uniwersalizm tej powieści, choć od jej wydania zmienił się ustrój i zwyczaje – niemal zawsze, w każdym miejscu i w każdym czasie historycznym znajdzie się ktoś, kogo zrujnuje rzeczywistość. Wpływ historii i polityki na podejmowane przez nas decyzje to nie tylko ucieczka z kraju za wolnością, ale też ta bardziej prozaiczna – za chlebem i godnością.

Narracja w powieści jest bardzo specyficzna – narrator obserwuje świat z dystansu, wtrąca swoje przemyślenia na temat życia, jednocześnie w książce możemy przeczytać następujące słowa: „Ale czyż nie jest tak, że autor umie mówić tylko sam o sobie?”. Kundera prowadzi z nami zmyślną grę, a wciągając nas w relacje pomiędzy Tomaszem i jego kobietami, wciąga nas w świat, w którym lekkość życia jest bezsenssem, a miłość i seks nie stanowią jedności – wręcz przeciwnie, można je zgrabnie rozdzielać, nieumyślnie łamiąc przy tym komuś serce. Wbrew pozorom, nie dotyczy to tylko relacji pomiędzy bohaterami – są oni dla Kundery tylko przykładem, którym zdecydował się posłużyć, chcąc barwnie przedstawić swoje przemyślenia. Nie pisze w barokowym stylu, nie dba o liczbę epitetów czy zdań wielokrotnie złożonych. Słowa, których używa, są proste. Wystarczają, by pomieścić ogrom motywów i emocji. Moje pierwsze zetknięcie z twórczością Milana Kundery było zupełnie przypadkowe. Po raz pierwszy przeczytałam „Niežność lekkość bytu” w 2009 roku, niewiele z niej rozumiejąc i niekoniecznie zdając sobie

sprawę z jak wielką literaturą mam do czynienia. Od tamtego czasu czytałam ją już wiele razy, podkreślając w swoim egzemplarzu niemal całe strony, pozwalając zdaniom utrwać się w głowie tak, by móc sobie o nich przypominać w odpowiednim momencie. Dziś mogę spokojnie zaliczyć ją do tych utworów, które w jakiś sposób ukształtowały moją osobowość i są mi szczególnie bliskie. To jedna z tych książek, które pod niepozorną, utrzymaną w minimalistycznym stylu okładką, ukrywają swoją treść. Jeśli zdecydujemy się ją komuś podarować, to możemy być pewni, że wręczamy ładnie opakowaną tykającą bombę. Kilkaset stron, kilkadziesiąt tysięcy słów, które z mistrzowską precyzją odkrywają motywy postępowania, wzorce, według których nieświadomie kreślimy życie, pokazują jak wiele rzeczy każdy z nas interpretuje inaczej. Czytanie „Niežność lekkość bytu” to trochę jak przyznawanie się przed samym sobą do swoich największych słabości. Kundera jest zdystansowany, jest bezwzględny, gdy odkrywa przed nami ludzkie – a więc nasze własne – słabości. Bolesnie otwiera nam oczy na wszystko to, co dotąd wydawało się być oczywiste, a mimo to wzrusza i wzbudza w nas niedefiniowalne tęsknoty.



# PLATZ



## Stanisław Bieniasz Górny Śląsk - świat najmniejszy

Ostatnim czasem temat Śląska ponownie zagościł na ustach narodu, a przynajmniej tego, co zwać się chce Narodem Śląskim. To wszystko za sprawą chociażby najnowszej powieści Twardocha „Drach” czy też kontynuacji przygód „Komisarza Hanusika” Melona. A wraz z tym powraca do nas kwestia tożsamości śląskiej, za każdym razem w rytm „ale to już było...”.

Stanisław Bieniasz, przez wielu określany mianem „pisarza śląskiego losu”, został zapomniany. A nawet jeśli nie do końca zapomniany, to w dużej mierze przemilczany. Niedoceniany za życia, idealista i marzyciel, który opowiadał o swoim Śląsku. Swoim, bo ten, który opisywał X lat temu nieco się zmienił (wciąż nie na tyle, by mówić o zaniku dawnych problemów, raczej o ich przemilczeniu), a ten, który chciał widzieć pozostał niezrealizowanym marzeniem.

„Górny Śląsk - świat najmniejszy” to zbiór - jak zapewnia wydawca - najlepszych tekstów autorstwa Bieniasza. I trudno o rzeczową ocenę, kiedy dostajemy wybór (oczywiście najlepszych) tekstów publicystycznych, (również najlepszych) opowiadań i długi, bardzo długi wstęp - oczywiście najlepszy z możliwych. A to wszystko w książce opublikowanej w czwartą rocznicę śmierci (2005 r.) „pisarza śląskiego losu”, którego w pierwszej kolejności zajmuje człowieczy los wpisany w konkretny pejzaż społeczno-polityczny. Stąd też ciągłe upominanie się o pamięć niemieckiej przeszłości Górnego Śląska, której nie można pomijać. Bieniasz jako wizjoner nowego Śląska (świata najmniejszego i zarazem tego najbliższego), powstającego na gruzach dawnych uprzedzeń zdaje

sobie z tego całkowicie sprawę, licząc na zrozumienie i zaakceptowanie tej (bo innej nie ma i nie będzie, ona nie zniknie wraz zamknięciem oczu) historii przez Polskę i „wzięcia”, a właściwie zaakceptowania Śląska w całej jego okazałości, choć to region pogranicza, daleki od nadniemeńskich wzorców.

O czym pisał Bieniasz? Naturalnie o Śląsku i to Śląsku sprzed dwudziestu-trzydziestu lat (z naszej, współczesnej perspektywy) w kontekście politycznym, społecznym i kulturalnym. W sposób, w który nikt przed nim tego nie zrobił i w zasadzie nikt po nim tego nie robi. Dlaczego? Ekonomia zysków, w której głos Bieniasza zanika zupełnie jak za jego życia (doceniony - jak wielu - dopiero po śmierci, ale na jak długo?). Może gdyby dawał ponieść się jeszcze bardziej wyobraźni i najlepiej pisał o Śląsku po śląsku z wykorzystaniem wszelakiej mitologii, to i współcześnie miałby „branie”. Jak twierdzi autor Świata najmniejszego „miejsca i ludzie stali się towarem, który trzeba jak najlepiej sprzedać, aby nasz świat miał szansę przetrwać - ten świat, który co prawda ma coraz mniej wspólnego z naszymi wyobrażeniami o nim, lecz musi służyć tym, którzy przyjdą po nas” - i tutaj w pełni się z nim zgadzam. Albo będziemy służyć modzie, albo przepadniemy z kretesem - wolalabym chyba przepaść, ale...

Wróćmy i do innej kwestii, a mianowicie: kto zna książkę Bieniasza, a któż odnosi się do przedmowy Krzysztofa Karwata? Zapewniam Was, że nieliczni... „Górny Śląsk - świat najmniejszy” to nic innego jak zbiór lepszych czy gorszych teksów publicystycznych i opowiadań, które miały rozpocząć dyskusję o Śląsku wczorajszym, dzisiejszym i tym jutrzejszym. tekstów możemy znaleźć i we wspomnianych przeze mnie wcześniej na blogu „sesjach śląskoznawczych”, które też takową dyskusję



Ilona Chylińska

chciały ożywić w środowisku akademickim, na ile skutecznie? Każda debata krąży wokół tych samych tematów, których nie sposób przegadać i jak widać nie sposób od nich wyjść dalej – trudno. Wróćmy jednak do Bieniasza i tego, co oferuje nam jego „świat najmniejszy”, a właściwie to, co się na niego składa.

Mamy tu zatem o poczuciu czy to obcości, czy to współistnienia Ślązaków z Niemcami, Polakami i samymi Ślązakami (pada określenie śląskiego Ślązaka). Po przybyciu Armii Czerwonej „żołnierze nie pytali czy ktoś czuje się Polakiem, czy Niemcem – znaleźli się na ziemi, należącej do wroga, więc traktowali wszystkich jej mieszkańców jako hitlerowców”. Podobny zresztą temat (z tym, że dotyczący Kresów i mazurskości) uchwyci w „Róży” Smarzewski kilka lat później. Zostaje poruszona również kwestia „swojego” i „obcego” oraz wielokrotnie i różnorako definiowanej tożsamości, a wszystko po to, by napisać „ziemia ta, jej pejzaż i specyfika, a także jej kultura, wywierają silny wpływ integracyjny na przybyszy z Polski [...]”. Naturalnie zostaje też poruszona, ale nie rozwiązana ostatecznie kwestia autonomii, Bieniasz mimo wszystko wzdryga się od definitywnej odpowiedzi. „Niby tak, ale... też nie tak, że nie, bo jednak tak...”

Bieniasz w swoich rozważaniach o udreńczonym narodzie śląskim kieruje i do nas samych pytania o przyczynę w momencie, gdy pisze: „Górny Śląsk staje się coraz bardziej jeśli nie przeszkodą, to w każdym razie zaułkiem, który lepiej omijać. Czy naprawdę nie ma w tym także naszej winy?”. Nie wiadomo jednak, na ile słuszne jest tu porównywanie do „zaułku” – „ślepej uliczki”, idąc tym tropem dalej. Ślepa uliczka – koniec gry, trafisz na sam koniec świata, nazwanego przez Kutza „Piątą stroną świata”, dalej nie ma już nic, ile naszej winy w niedostrzeganiu perspektyw... Śląskość zostanie zdefiniowana przez Bieniasza jako „zespół cech, odróżniających mieszkańców tej ziemi od »uśrednionego« Polaka, a wynikających z odmiennej historii”. Z historii, która pokazuje, że tu, na tej ziemi, gdzie kategorie: „Polak”, „Niemiec”, „Ślązak” mogły mieścić się w jednym człowieku. Zatem nie do końca Polak (wzorcowy, którego chce widzieć Polska), nie do końca Niemiec (którego widzi Polska w swoim spojrzeniu na region) i nie do końca Ślązak (czym on sam w sobie jest?

Który tak drażni Polskę, gdy próbuje w ten sposób zamknąć tę różnorodność w jednym słowie). Bieniasz w rozważaniach o narodowości pójdzie dalej i napisze, że: „Górnoślązak bywał tym, kim musiał być, aby przeżyć, z reguły deklarował się jednak tylko na tyle, na ile było to konieczne”. Mniej więcej te wątki zostały poruszone przez „pisarza śląskiego losu”, natomiast dyskusja pozostała wciąż nierozstrzygnięta – bo o ile jako tako się zaczęła, o tyle trudno powiedzieć, by wychodziła poza horyzont zwykłego bleblania i kurczowego trzymania się tej samej struny, przy której chce się śpiewać „Ale to już było...”.

Postuchajcie, bracia miła Bieniasza z Zabrze i pochylcie się nad regionem pogranicza, który był zawsze gościnny wobec obcych, ale zarazem trzymał ich na dystans. Książka nie gwarantuje jakiegokolwiek zrozumienia specyfiki regionu, ale daje możliwość spojrzenia na niego z różnych perspektyw – od historycznej, przez polityczną po kulturową, a to wszystko tworzy nic innego jak „świat najmniejszy”, który prezentuje nam Bieniasz. Myślę, że zmienia też nieco spojrzenie na pozostałe pozycje, krążące tematyką wokół tego regionu – jak np. „Cholonek” Janoscha.





An open picture book is shown from a top-down perspective. The pages are filled with a vibrant, painterly illustration of a landscape. The scene features rolling green hills, a winding path, and a small structure in the distance. The colors are rich and saturated, with various shades of green, brown, and blue. The book is open, and the pages are slightly curved, giving it a three-dimensional appearance. The background is dark and out of focus, making the book the central focus of the image.

# Dewizkowy Czerwony Kapturek

czyli niemy picture book

# PLATZ



Jakiś czas temu w jednym z facebook'owych konkursów wygrałam niezwykłą książeczkę. Nie mogąc się doczekać jej przyjścia, przez kilka dni zaglądałam do skrzynki pocztowej, czy to już nastąpiła ta chwila. Dlaczego niezwykłą? O tym poniżej.

„Czerwony Kapturek” Izabeli Dewizki Dudzik to uczta nie tylko dla oka, ale także dla wyobraźni. Autorka potraktowała kultową historię w sposób niebanalny i nieszablonowy, tworząc współczesną baśń, która umożliwia czytelnikowi pełniejsze, bo interaktywne czytanie.

Książeczka to niemy picture book, czy może nawet komiks, na który składają się dwustronicowe plansze. Nie znajdziemy tu dialogów - chyba, że w postaci dymku z widocznymi tam symbolami - czy opisów. Forma graficznego tekstu pozwala na indywidualny sposób czytania historii przez odbiorcę. Duże i szczegółowe ilustracje pomagają ćwiczyć koncentrację i skupić uwagę na wielu widocznych tu, czasem bardzo szczegółowych, elementach. Każdy czytelnik może sprawdzić swój poziom koncentracji i uwagi na samym końcu lektury - ostatnia strona to spis elementów, które pojawiały się w książce z widocznym powyżej napisem „Gdzie to jest?”. Wyjątek stanowi przedostatnia strona, na której został umieszczony literacki opis bajki napisany przez Marka Jagielskiego (to ułatwienie dla tych, którym obce są losy małego Kapturka).

Niezwykły sposób przedstawienia znanej już historii dopełniła charakterystyczna dla artystki typografia nawiązująca do klimatów leśnych, ale także świetne wycucie barw. Popularna w bajkach dla dzieci pstrokatość nie znajduje tu miejsca, bowiem całość ilustracji utrzymana jest w jednolitym, nieco

przygaszonym kolorystycznie klimacie, co także stanowi o sile tej publikacji. Zeszytowy format, gruby papier, fajne, duże skrzydełka, które można potraktować jako zakładkę (sprawdzają się znakomicie!) - to wyznaczniki dobrego wydania tej książki, co zawdzięczamy wydawnictwu Brambla.

Dewizka zgotowała dla czytelników jeszcze jedną niespodziankę. Książka wpisuje się doskonale w dzisiejszą modę na tak zwany fanfiction. Nawet najmłodszy czytelnik przy okazji lektury „Czerwonego kapturka” mogą wymyślić i, mała tego, dorysować własną wersję zakończenia tej historii.

Jednym słowem: rzetelnie, oryginalnie i fajnie!



Aleksandra Młyńska



A close-up, macro photograph of a cat's nose. The nose is a reddish-pink color with a textured, pebbled surface. It is surrounded by dense, brown and black fur. The background is softly blurred, showing more of the cat's fur and a hint of a white paw.

# geneza

## kot w butach

Skąd się wziął?  
Czemu nie ma nic wspólnego ze słodkim, rudym kotkiem?  
I dlaczego chodzi w butach?



# PLATZ



Kot w butach jest postacią, która wtopiła się już w naszą kulturę. Nikt nie pyta skąd się wziął, on po prostu jest. Kojarzymy go już raczej z filmów animowanych o zielonym ogrze – Shrek 2, Shrek Trzeci oraz Shrek Forever (2004, 2007, 2010). Powstał nawet osobny film animowany – Kot w butach (2011), w którym głównym bohaterem jest już sam kot, ten, który wcześniej pojawił się w Shreku. Jako społeczeństwo przyjęliśmy do kultury rudego kotka - jako autentycznego, zapominając o jego pierwowzorze. Skupię się na jego odszukaniu oraz spróbuję odpowiedzieć na pytanie: dlaczego kot w butach a nie na przykład w szaliku?

Na samym początku zerknijmy do wersji tej bajki autorstwa Charlesa Perraulta. Prawdopodobnie jeszcze wcześniej istniała wersja Straparoli (w której kot zajmuje zamek należący do szlachcica, który umarł w podróż), ale to ta Perraulta stała się najbardziej popularna. Kot w butach razem z innymi bajkami, na przykład Czerwony Kapturek, Kopciuszek czy Śpiąca Królewna, znalazły się w pierwszej drukowanej wersji Bajek Babci Gąski, opublikowanej w 1697 roku. Charles Perrault był francuskim bajkopisarzem, co odgrywa istotną rolę w moich poszukiwaniach. W celu wyjaśnienia, musimy zaczerpnąć wiedzy z historii Francji. Najpierw jednak prześledźmy, jaką rolę odgrywały koty na przestrzeni wieków, zaczynając od starożytności.

Egipcjanie darzyli koty szczególną sympatią, niezrozumiałą dla innych ludów antycznych. Za zabójstwo kota można było być nawet skazanym na pozbawienie życia. Śmierć kota przyjmowano z wielkim żalem, a domownicy golili brwi na znak żałoby, jak wspomina Herodot (ok. 480 p.n.e. – 426 p.n.e.). W starożytnym Rzymie zwierzęta te towarzyszyły

legionom, gdzie stały na straży wojskowych magazynów ze zbożem. W średniowieczu dom bez kota zaczęto postrzegać jako niepełnowartościowy. Jednak to właśnie wtedy, w literaturze i sztuce wytworzyła się wokół nich dwuznaczna symbolika, która odbiła się na sposobie ich traktowania. Nocny tryb życia, widzenie w ciemności, cichy chód i niezależność przyczyniły się do uznawania ich za wystanników diabła, albo przynajmniej za stworzenia moralnie wątpliwe. Jeżeli samotna kobieta wędrowała z kotem, uznawano ją w większości przypadków za czarownicę. Św. Hildegarda z Bingen (1098–1179) przekonywała na przykład, że zjedzenie kociego mózgu wywołuje obłąd, a całe jego ciało jest trujące. Niektórzy średniowieczni przyrodnicy i lekarze twierdzili też, że to koty były przyczyną nocnych skurczy i duszności, a nawet śmierci. Za to chętnie ubierano się w kocie futra, choć nie zawsze uznawano to za honorowe.

Skupię się teraz już na samej XVII–XVIII-wiecznej Francji. Koty odgrywały wtedy niesamowicie znaczącą rolę, niestety negatywną. Podczas karnawału w Burgundii, młodzież podawała sobie z rąk do rąk kota i wrywała mu futro, by sprowokować go do przeraźliwego miauczenia. Koty pojawiały się także podczas uroczystości św. Jana Chrzciciela (24 czerwca, w czasie przesilenia letniego). Ludzie rozpalali ogniska, skakali przez nie, tańczyli wokół nich i wrzucali w nie przedmioty posiadające magiczne właściwości, mając nadzieję na odpędzenie w ten sposób od siebie nieszczęścia. Ulubionym obiektem tych praktyk były koty – zawiązane w workach, spuszczone na sznurach i palone na stosach. Paryżanie palili całe worki kotów, podczas gdy w Saint Chamond (miejsce w środkowo-wschodniej części Francji) woleli gonić ulicami za płonącym kotem.



Patrycja Pazik

W niektórych częściach Burgundii i Lotaryngii tańczono wokół ozdobnego stupa (z okazji święta wiosny), do którego przywiązywano myszotapa i podpalano. Istniało jeszcze wiele regionalnych odmian, ale każda z nich wiązała się z ogniem i kotami. Nie dało się zorganizować tych obrzędów z udziałem na przykład krowy. Uważano, że koty mają specyficzny charakter i w szczególności nadają się do odprawiania rytuałów. Chodziło tu również o charakterystyczne dla tych zwierząt „darcie się”, określane jako kocia muzyka.

Szczególnym wydarzeniem w ówczesnej Francji była wielka masakra kotów przy ulicy Saint-Severin. Praktykanci z zakładu drukarskiego Jacques'a Vincenta zainicjowali masowe wyłapywanie kotów. Przyczynili się do publicznego osądzenia i egzekucji na wszystkich okolicznych kotach, wraz z kotką pani Vincent. Było to spowodowane ich masową ilością w wydawnictwie. Jeden z pracowników miał ich dwadzieścia pięć i zlecił nawet namalowanie ich portretów. Tymczasem kocury te zawodziły całymi nocami, siedząc na dachu dokładnie nad obskurną sypialnią praktykantów, uniemożliwiając im całonocny sen. Myślę, że rzeź kotów była zainspirowana obrzędami francuskimi, które opisałam powyżej.

*Pewien młynarz pozostawił dzieciom w spadku wszystkie swoje dobra. A miał on tylko młyn, ośła i kota. Dzieci prędko tym się podzielili, nie wzywając sędziego ani notariusza. Ci bowiem zjedliby do cna ich ubogi spadek.*

*Syn najstarszy wziął młyn, średni ośła, a dla najmłodszego pozostał kot. Najmłodszy był niepocieszony, że mu przypadł taki lichy udział.*

*- Moi bracia - powiedział - będą mogli we dwóch zarobić na przyzwoity kawałek chleba. Ja zaś, gdy zjem tego kota, a jego skórkę wyprawię na zarekawek, mogę tylko umrzeć z głodu.*

Fragment ten pokazuje ówczesną pozycję kota. Syn młynarza nie cieszył się z tego, co otrzymał w spadku. Nie wiedział, jak może mu pomóc, jedynym pomysłem, było zjedzenie go, aby zapobiec głodowi. Przypomina to historyczne rytuały. Wszystko jednak zmienia się, kiedy okazuje się, że ów kot potrafi mówić ludzkim głosem. Prosi młynarza o pozwolenie na uszycie mu butów i worka, a on mu się odwdzięczy. Oczywiście syn odrzuca myśl o zjedzeniu go, przypominając sobie, jaki jest zwinny i szybki, a następnie daje mu to, o co prosił. Dlaczego buty? Symbolem ubóstwa

jest nieposiadanie butów, tak więc w momencie kiedy kot, zwierzę podrzędne, zakłada buty, staje się kimś wyższym w hierarchii. To też, gdy idzie do króla, aby wręczyć mu swoją zdobycz – królika, mając na sobie buty, nikogo nawet nie dziwi, że to kot. Idąc dalej, buty symbolizują władzę i wolność. Rzeczywiście, odkąd syn młynarza spełnia prośbę zwierzęcia, staje się mu w pewien sposób oddany. Spełnia jego polecenia, działa według jego wskazówek. Tym samym, kot staje się wolny i niezależny. Co prawda działa on na korzyść swojego pana, jednak od początku widzi w tym szansę również dla siebie.

Kot wpada na pomysł, którego skutkiem może być małżeństwo jego pana z piękną córką króla. Wszystko jednak było podstępem, uknutym przez zwierzę. Symbolika kota odpowiada zachowaniu kota i jest ukształtowana również przez historię, o której była mowa na początku. Mianowicie, kot symbolizuje czary, diabła, magię, ciemność, śmierć, wróżbę, okrucieństwo, drapieżność, zdradę, chytrość, egoizm, niewierność, wygodę, lenistwo. Większość z tych cech można odnaleźć w postaci kota w butach. Jest chytry, dlatego oszukując wszystkich sprawia, że królewska księżniczka zakochuje się w jego panie, na którego temat musiał dużo nakłamać. Syn młynarza stał się nagle człowiekiem zamożnym i dostojnym, idealnym kandydatem dla córki króla. Następnie kot również podstępnie zdobył dla swojego pana piękny zamek, którego właścicielem był wilkotak. Miał on zdolność przemiany w różne inne postacie, toteż kot sprawił, by zamienił się w mysz, po czym go zjadł. W taki oto sposób syn młynarza zyskał zamek, miłość, przychyłność króla i „oddanego” kociaka. Któż inny mógłby dokonać tego wszystkiego jak nie sprytny kot?

W bajce tej wielką rolę odgrywa symbolika. Dopiero po zapoznaniu się z nią, jesteśmy w stanie dostrzec głębszy sens bajki Perraulta. Okazuje się bowiem, że wybrał on kota jako bohatera nieprzypadkowo. Także buty, które dzisiaj są nieodłącznym atrybutem bajkowego kotka, zostały dobrane umyślnie. Kształtują one od początku świadomie bohatera, gotowego na kłamstwa dla nagrody. Pod koniec na jaw wychodzi jeszcze jedna kocia cecha – egoizm, kot bowiem przy okazji swoich czynów został szlachcicem i żył w luksusie w zamku ze swoim panem.

*Napotkawszy chtopów koszących łąkę, powiada do nich:*

*- Dobrzy ludzie! Kosiarze! Jeśli nie chcecie, by was wszystkich posiekano na drobne kawałki, jak mięso na pasztet, powiedzcie królowi, że łąka, którą kosicie, należy do jaśnie wielmożnego pana Szarabana!*

Okazuje się zatem, że bajki, które uważane są za mało znaczące opowiadania dla dzieci, są układane bardzo rozważnie. Bawią najmłodszych, ale również przekazują wiele treści starszym. Bajki Charlesa Perraulta pełniły pierwotnie rolę opowieści ludowych, które są pewnego rodzaju źródłami historycznymi. Ewolowały przez stulecia i przybierały różne formy w różnych tradycjach kulturowych. Łatwiej nam będzie zrozumieć dystans, jaki dzieli nasz świat od świata naszych przodków, gdy wyobrazimy sobie siebie samych opowiadających dziecku przed snem pierwotną, ludową wersję bajki o Kocie w butach. Pozostaje tylko przywołać dwa podsumowujące bajkę morały, jakie wysnuwa Perrault:

*Morał pierwszy:*

*Prawda: to korzyść oczywista,  
gdy możesz z ojców dóbr korzystać.*

*Prawnie dziedziczyć - to nie wstyd.*

*Lecz więcej niżli testamentom  
zawierz zdolnościom i talentom,  
a czasem - zdaj się i na spryt.*

*Morał drugi:*

*Jeśli czasem na świecie taka rzecz się zdarza,  
że serce córki króla zyska syn młynarza  
i ta z nagłą go darzy omdlatym spojrzeniem,  
wierście mi, iż zazwyczaj ważą tu niemało  
- budząc miłość i tkliwym sprzyjając zapałom  
- młodość, zdobywcza postać i piękne odzienie.*

Wszystkie cytaty pochodzą z „Kota w Butach” Charlesa Perraulta (wydanie z 1991 roku). Tekst oparty został również na książce „Wielka masakra kotów i inne epizody francuskiej historii kulturowej” Roberta Darntona (wydanie z 2012 roku).

\*\*\*



Najbardziej szalony cykl w Platcu.  
Najoryginalniejszy cykl street fashion w całym internecie.  
Tylko na:

**magazynplatz.weebly.com**



# Asymetria

Adama Zagajewskiego

## 2 szkice



# PLATZ



„Asymetria” Adama Zagajewskiego to rozliczenie i pożegnanie. Rozliczenie siebie i świata. Pożegnanie z ludźmi i przeszłością, choć nie do końca, bo przeszłość dostrzec można w tym, co jeszcze jest teraźniejszością, dostrzec poprzez „żał, że czas musi nam wszystko odebrać” [Chaconne]. Tomik pełen jest wspomnień ludzi, którzy odeszli i miejsc, które autor odwiedził. Życie jest tu przedstawione jako jedyny w swoim rodzaju cud, który każdy powinien docenić, jako:

*królestwo,  
do którego my należymy,  
widzialne i przyjazne,  
ogromne królestwo żywych,  
ale my nie potrafimy go zobaczyć –  
ponieważ jest w nas,  
ponieważ jest nieskończone  
i elastyczne.*

[„Na wagarach”]

Natomiast śmierć z jednej strony jest nieskończonością tęsknoty, za tymi którzy odeszli, a z drugiej strony wyzwoleniem. Śmierć to cisza, strach i bezsilność tych którzy pozostali:

*zaczynamy się domyślać,  
boimy się, zgadujemy, wiemy,  
że zaraz nadejdzie cisza  
i bezsilny płacz.*

[„Ten dzień”]

Cały tomik, który jest hołdem oddanym przeszłości, opisuje zdarzenia i uczucia wieczne, ponadczasowe i doniośle. Wydawać by się mogło, że takie klasyczne podejście do poezji nie może już nic nowego pokazać czytelnikom, szczególnie młodym. Jednak Zagajewski o rzeczach wielkich pisze w sposób zwyczajny, zrozumiały i prosty. Nie ma tu patetycznego tonu, górnołotnych metafor, jest za to wiele prawdy

i osobistych doświadczeń. Dzięki temu, temat życia i śmierci nabiera nowego, ludzkiego wymiaru, żał jest równoważny z żalem każdego człowieka płaczącego nad grobami bliskich, a radość, uśmiechem każdego człowieka nad codziennymi przyjemnościami. Skąd więc „Asymetria”? Otóż, mimo równego traktowania życia i śmierci, to jednak życie ma przewagę nad śmiercią. Przewagę, która pozwala na wspomnienia, poznanie, odkrycia, nowe doświadczenia, a nawet pewnego rodzaju wyrzut sumienia w stosunku do śmierci i zmarłych. Poeta pisze w jednym z wierszy tomiku:

*dopiero teraz umiałbym rozmawiać z rodzicami –  
ale nie mogę ustyszeć odpowiedzi.*

[Rozmowa]

Życie z jednej strony daje nam przewagę, możemy nauczyć się rozmawiać nawet z tymi, którzy odeszli, możemy pytać, mamy jeszcze czas. Nie możemy jednak ustyszeć odpowiedzi, bo nikt nie jest nieśmiertelny, a każde życie stanie się w końcu strzępkiem pamięci w umyśle innego człowieka.

**Emocjonalny efekt materialnej bezdomności na przykładzie wiersza „Podróż ze Lwowa na Śląsk w roku 1945”.**

W języku polskim słowo bezdomność oznacza brak domu, jednakże można to tłumaczyć zarówno, jako brak konkretnego materialnego obiektu mieszkalnego, jak też brak poczucia bezpieczeństwa i komfortu psychicznego związanego z pojęciem rodziny, grupy społecznej lub społeczeństwa jako całości. Najbardziej trafna wydaje się być definicja zaproponowana przez Marię Pisarską: „bezdomny to człowiek nieposiadający własnego mieszkania, lub osoba o specyficznych predyspozycjach, która nie akceptuje norm społecznych, która w imię wolności dokonała wyboru



Magdalena Eliza  
Donder

pewnego sposobu życia - typ wędrowca tułacza".

Poezja często odnosi się do bezdomności, ale w sensie metaforycznym, głównie jako efektu własnych wyborów, zapętlenia emocjonalnego, braku poczucia przynależności do określonego miejsca, czy środowiska. Jest z jednej strony analizowana w kontekście przyczyn, takich jak konkretne poglądy, ideologie, religie, poczucie odmienności, odrzucenie przez środowisko, a z drugiej w kontekście efektów, którymi są poczucie pustki, braki fizyczne, problemy z nawiązywaniem więzi lub zaspokajaniem potrzeb własnych i innych ludzi. Ten rodzaj bezdomności wydaje się być literacko efektowny, pozwalający na ukazanie tragizmu jednostki, wyobcowania, samotności i niezrozumienia przez otoczenie. Istnieje jeszcze jeden rodzaj bezdomności, do którego poezja odnosi się rzadko, to materialny brak schronienia, domu w sensie dostępnym, jako fizycznego miejsca życia, zaspokajania potrzeb biologicznych i regeneracji sił. Ten rodzaj bezdomności nie daje zbyt dużej możliwości manipulowania uczuciami czytelnika, zwłaszcza dziś, gdy jego efekty, również postrzegane materialnie, przeciętnemu czytelnikowi kojarzą się z brudem, smrodem, spaniem w zaułkach ulic i poczekalniach dworcowych. Jako obraz napiętnowany społecznie, wydany na margines codziennej egzystencji jest bezdomność materialna postrzegana jako coś, czego w żaden sposób nie można podpiąć pod definicję piękna, choćby najbardziej szeroką. Jest jeszcze jeden rodzaj bezdomności, fizycznej, ale nie marginalnej, związanej z brakiem konkretnego miejsca, ale odczuwanej wyłącznie jako brak emocjonalny. Ten rodzaj bezdomności znalazłam w twórczości Zagajewskiego.

Po raz pierwsze słowo „bezdomność” zostało użyte w jednym z angielskich tłumaczeń „Odysei” Homera. Nie bez przyczyny przywołałam tu jedną z najbarwniejszych postaci literatury okresu starożytności. Bezdomność Odyseusza miała bowiem podobne przyczyny, jak bezdomność rodziny Zagajewskich. W obu przypadkach ciąg wydarzeń rozpoczęła wojna i w obu do bezdomności doszło z powodu decyzji instancji wyższych; w przypadku Odysa byli to bogowie, w przypadku Zagajewskich decyzje czołowych polityków ówczesnego świata. W wyniku pojałtańskich porozumień w roku 1945 rozpoczęła się masowa akcja

przesiedleńcza. Tysiące rodzin zamieszkujących wschodnie obszary przedwojennej Polski zostało zmuszonych do przeniesienia się na ziemie znajdujące się w granicach powojennej Polski. Były to przede wszystkim tereny wyzwolone, czyli obszar Śląska i Wielkopolski. Dodatkowego tragizmu sytuacji dodaje fakt, że mieszkańcy Lwowa, w tym również rodzina Zagajewskich, uważani byli przez nowe, komunistyczne władze za element wrogi, dlatego starano się ich rozmieszczać w miejscach oddalonych od siebie.

*Stukają koła towarowych wagonów*

*potem zapada nudna cisza*

*pociąg stoi długo wśród żółtych traw*

*mijają go ciężkie transporty wojskowe*

*Ten pociąg nie ma pierwszeństwa*

*nie jest synem pierwotnym*

Mamy tu do czynienia nie tylko z utratą domu, korzeni, miejsca wychowania i dorastania wielu pokoleń, ale też z utratą środowiska, w którym te procesy wychowawcze przebiegały. Osadzano przesiedleńców w nowych domach, miejscach, w zupełnie obcym środowisku, bez możliwości kontaktu ze znajomymi ludźmi. Była to dla przesiedleńców także nowa sytuacja społeczno-polityczna, nowe idee, nowy ustrój, co dodatkowo potęgowało uczucie zagubienia, a jednocześnie braku przynależności do nowego świata:

*idee pokażą się w świątecznych strojach*

*jak w „Mazowszu” czy „Śląsku”*

*w nakrochmalonych spódnicach*

*i w wysokich wypastowanych butach*

Z dawnego życia nie pozostało nic prócz wspomnień.

*Za nami zostały masowe groby*

*i bezdomne cierpienie*

Bezdomność w tym wypadku nie budzi sprzeciwu, co do materialności odczucia, ale staje się bezdomnym cierpieniem, odczuciem wyłącznie emocjonalnym. Jeśli gdzieś tam, w przeszłości pozostało cytowane bezdomne cierpienie, to pozostała też miłość, przyjaźń, przywiązanie. Gdzieś tam, na masowych grobach bliskich, na grobach przodków



Gdzieś tam, na masowych grobach bliskich, na grobach przodków pozostały uczucia i stały się przeszłością na równi z odebrany domem. Lwów to miasto, które rodzice Zagajewskiego do końca życia uważali za „swoje”. Było ono częstym tematem rozmów w domu Zagajewskich, wiązało się ze wspomnieniami dzieciństwa, młodości, trudnych lat wojny i okupacji, ale też miłości, rodzinnego szczęścia, narodzin dzieci. To miasto oglądał młody Zagajewski oczami ojca i stracił bezpowrotnie w chwili jego śmierci. Jak traumatyczna była to strata dla całej rodziny świadczy najlepiej fakt, że prawie siedemdziesięcioletni poeta wspomina tamtą bezdomność, którą zna jedynie z opowiadań, bo w chwili przesiedlenia miał pięć miesięcy:

*I znowu wolno się toczą rdzawe wagony  
głęboko oddycha lokomotywa (...)  
Stukają koła towarowych wagonów (...)  
Teraz my jesteśmy bezdomni  
I jest tylko ta chwila*

Podróż była zawieszeniem pomiędzy jednym światem, który odchodził, a światem drugim, który miał się dopiero pojawić. W tamtym momencie nie liczyła się, ani przeszłość, ani przyszłość, była tylko „ta chwila”, dni materialnej bezdomności, która nie doskwierała brakiem łóżek, łazienki, kuchni, ale emocjonalną pustką, brakiem przynależności do miejsca, czasu, ludzi.

Podróż rodzina Zagajewskich zakończyła w Gliwicach. Śląsk opisywał poeta z czułością dziecka poznającego tajemnice, dla którego wszechobecna zieleń była równie fascynująca jak kominy pobliskiej koksowni. Jednocześnie pamiętał, że dla jego rodziców miejsce to było obce, ale stało się z czasem nowym domem:

*Nie należeliśmy do tej ziemi,  
ale wspaniałomyślnie przyjęła nas –  
przyjęła was oboje.  
[„Ziemia”]*

Osoby bezdomne czują się wyalienowane ze środowiska, w którym przebywają, żyją obok, w świecie własnych wspomnień i wyobrażeń. Najczęściej nie czują się też związani z żadną grupą społeczną, przebywają

wyłącznie w świecie innych bezdomnych. Rodzinie Zagajewskich udało się częściowo przetamać ten schemat i zintegrować się z nowym środowiskiem, głównie za sprawą ojca, który wkrótce stał się cenionym naukowcem i wykładowcą gliwickiej Politechniki. Odyseusz powrócił do starego domu. Zagajewscy otrzymali nowy dom, w którym zbudowali nowe życie, ale wciąż jednak pozostało w nich poczucie bezdomności, które sprawiło, że nasza czteroosobowa rodzina będzie tak doskonała jak najlepszy kwadrat, zbliżyło ich do siebie i potoczyło na zawsze w tragicznym poczuciu braku ciągłości, którego nie złagodziło, ani nowe życie, ani nowy dom.

**Dzień po pogrzebie, czyli zawieszenie między żalem, a powrotem do życia.**

Wiersz „Nigdzie” otwierający tomik „Asymetria” opowiada o dniu, gdy autor po pogrzebie ojca wracał do świata, gdzie „zabawa trwa do śmierci”. Powoli otrząsał się z żalu, choć jeszcze miał ochotę opowiedzieć spotkanym osobom o swojej stracie i samotności, która wydała mu się tym większa, że spędzał ten dzień daleko od domu. Śmierć ojca nie była dla autora zaskoczeniem. Stracił go o wiele wcześniej. Ojciec Zagajewskiego miał 97 lat i długo chorował. Miał zaniki pamięci, a w ostatnich latach nie poznawał syna. W 2009 roku poeta pisał w wierszu „Ojciec już mnie nie poznaje”:

*Już nawet  
nie ma tych rozbitków świadomości,  
którymi do niedawna mogliśmy się pocieszać.  
Leży pogrążony w ciemności, śpi, drzemie,  
tak jakby odszedł od nas.*

[„Ojciec już mnie nie poznaje”]

Jednak dzień po pogrzebie nadchodzą wspomnienia wspólnie spędzonych lat, podczas których ojciec stał się dla niego mentorem, przyjacielem, łącznikiem pomiędzy dzieciństwem, a dorosłym życiem, szczególnie w tym okresie, gdy Zagajewski zmuszony został do emigracji.

„Nigdzie” leży gdzieś pomiędzy kontynentami lub w Hyde Parku, pełnym głośów i zabawy. Oznacza brak przynależności do jakiegokolwiek konkretnego miejsca. Autor jest zagubiony, ale wolny, choć wołabym takiego rodzaju wolności uniknąć, bo, jak pisze:

*jeśli to jest wolność, myślałem, to wołabym chyba  
być jeńcem dobrego króla, ciepłego cesarza;*  
[„Nigdzie”]

„Nigdzie” to jednocześnie wolność i samotność, która wynika z zerwania z korzeniami. A korzenie można rozumieć w tym wypadku na kilka sposobów, z których każdy bezpośrednio łączy się z osobą ojca. Pierwsze korzenie to miasto narodzin poety, Lwów, z którego jego rodzice zostali wysiedleni w listopadzie 1945 roku, drugie korzenie, to miasto, w którym poeta się wychował, Gliwice.

Profesor Tadeusz Zagajewski był osobą znaną w Gliwicach. Z czasem zyskał wielu przyjaciół i znajomych, głównie związanych z Politechniką Śląską, którą pomagał tworzyć, i na której przez wiele lat był jednym z najbardziej lubianych wykładowców. Pomimo wielu propozycji pracy napływających z innych, bardziej prestiżowych uczelni w kraju, nie zdecydował się na wyjazd, twierdząc, że tu znalazł swój dom i tu mieszka jego rodzina. Właśnie miejsce było dla niego niezwykle ważne, jako ostoja, podstawa stabilizacji i życiowego spokoju. Takie właśnie poglądy przekazał swojemu synowi Adamowi, który, pod wpływem sytuacji politycznej, nie mógł jednak takiego miejsca odnaleźć. W latach osiemdziesiątych wyemigrował z rodziną do Paryża, a jego życie toczyło się pomiędzy Europą a Stanami Zjednoczonymi, gdzie był wykładowcą na uniwersytetach w Chicago i Houston. Dopiero w roku 2002 powrócił do Polski i zamieszkał na stałe w Krakowie. Ojciec był dla poety przykładem stabilizacji, spokoju, a przede wszystkim przykładem osoby, która znalazła swoje miejsce w życiu. Stwierdzenie: „nigdzie nie należałem” można więc tłumaczyć na dwa sposoby: jako brak przynależności do konkretnego miejsca, ludzi i społeczności, ale również jako oddzielenie się od idei, która trwanie w tej społeczności promowała, a której wyrazicielem był ojciec.

Również stwierdzenie „byłem wolny” można tłumaczyć jako oddzielenie się od konkretnych miejsc, fizyczne wyzwolenie się od krępujących więzi społecznych związanych z pochodzeniem i wychowaniem, ale również jako wolność duchową, ideową, uczuciową. Jednakże poeta nie jest zadowolony z takiego wymiaru wolności, który oznacza samotność, i wołabym być „jeńcem

dobrego króla”. W tym jednym zdaniu wyraża podziw i szacunek dla ojca, jego poglądów, wytrwałości i miłości, którą okazywał rodzinie, i której nauczył swoje dzieci.

Ten dzień poeta opisuje na dwa sposoby: ze względu na odczuwalny brak miejsca oraz równie mocno odczuwany brak wyrazistych odczuć, jako dzień nijaki: „ bez charakteru, tchórzliwy, bez formy, dzień bez natchnienia”, dzień, w którym „nawet żal nie przybierał radykalnej postaci”. Brak żalu tłumaczy Zagajewski faktem, że jest już za stary na sierotę, ale również pustką, którą odczuwa się, gdy opadną już pierwsze emocje. Dla świata był to nudny, zwyczajny dzień, w którym:

*liście płynęły pod prąd czerwonej jesieni,  
wiatr ziewał szeroko jak myśliwski pies.*

[„Nigdzie”]

Poeta ten dzień odbierał podobnie, choć to nie nuda, wyraźnie w wierszu przeciwstawiona radosnemu życiu toczącemu się w Hyde Parku, a właśnie owa pustka, stanowiła o jego właściwym wymiarze. Pustka, w której nawet Chopin nie byłby w stanie tworzyć, ani utworów wypyływających z żalu, ani z radości, ani żałobnych, ani opiewających szczęście, ani nawet nostalgicznych nokturnów, które w taki dzień trudno jest uzasadnić. Bo dzień po pogrzebie to pustka pozbawiona tego, co fizyczne i duchowe, nawet muzyki, a pustki nie da się uzasadnić, ani nocy, ani bólu. One pojawiają się i trwają nigdzie, gdzieś między umysłem a sercem, między tym, co racjonalne, a tym co niewytłumaczalne, gdzieś między kontynentami.

Wiersz „Nigdzie” różni się od pozostałych utworów tomiku swoją geometrycznością. Brak w nim tytułowej asymetrii, a wyraźnie rysuje się równowaga pomiędzy zawartymi w nim emocjami, a obrazem jesiennego dnia, równowaga pomiędzy życiem i śmiercią, które dzień po pogrzebie kogoś bardzo bliskiego nie mają znaczenia w równym sobie stopniu. Śmierć i związany z nią żal należą do dnia poprzedniego, natomiast życie i związana z nim radość do dnia jutrzejszego. To dzień pomiędzy czasem, pomiędzy uczuciami i pomiędzy przestrzenią. Dzień, który nie może być, ani symetryczny, ani asymetryczny, ponieważ stanowi swojego rodzaju środek, z którego jak promienie da się wyciągnąć niekończące się uczucia, zarówno te pozytywne, jak też negatywne. Sam „dzień po pogrzebie” jest nijaki i jest nigdzie, ma znaczenie tylko jako koniec jednego etapu w życiu i początek drugiego.



PLATZ

słucha

Kyte

Fever Ray

Mary Komasa

Król



# PLATZ



Kuba Jeziorek

Kyte

Love To Be Lost

Współczesny europejski indie pop ma jedną podstawową wadę – szybko nuży. Pierwsza dekada XXI wieku przyniosła nam tysiące zespołów grających to samo – optymistyczne, podbite wiecznie tymi samymi syntezatorami piosenki, które wypadają z głowy tak samo szybko, jak do niej wpadły. Niewiele jest grup oryginalnych i jednocześnie mieszczących się w (szerokim, przyznaję) spektrum podgatunków alternatywnego popu. Właśnie dlatego tak bardzo cenię sobie peretki takie, jak „Love To Be Lost” brytyjskiego zespołu Kyte.

Nie ufam Japończykom w kwestiach muzycznych. Chyba nigdy nie słyszałem japońskiej piosenki, która nie byłaby wybitnie kiczowata i irytująca. Być może to dlatego mieszkańcy Kraju Kwitnącej Wiśni tak chętnie patrzą na zachodnie propozycje i dlatego Kyte po wydaniu w 2012 roku tego krążka, odniósł w Japonii wielki sukces. Kompletnie niezauważana przez krytyków ze Starego Kontynentu (i to przez niemal 7 lat) trójka chłopaków z Leicestershire spełniła wszystkie kryteria, by stać się kolejnymi muzykami z plakieta „Big in Japan”. Wystąpili na największych festiwalach, pojechali w naprawdę imponującą, jak na niepozorny indie popowy band, trasę koncertową, ale mimo to Europa nie „ustyszała” potencjału albumu „Love To Be Lost”.

A jest czego tu słuchać. Otwierające tracklistę „Breaking Bones” to jedna z najwspanialszych, monumentalnych kompozycji electropopowych tego wieku. Bardzo ciężka atmosfera refrenu, przerywana lżejszymi zwrotkami (zarówno w warstwie lirycznej, jak i muzycznej) i shoegazowa gitara w tle przypomina o starszych dokonaniach Kyte, ale też znakomicie

zaczyna album, dając do zrozumienia, że nie będzie to łatwy dream pop, jakiego można się było spodziewać (to chyba najczęstsza „szufladka” do której krytycy wrzucają tę płytę). „Scratches” i „Love To Be Lost” – nieco podobne do siebie, inspirowane z jednej strony rockiem końca lat 80., a z drugiej apokaliptycznymi klimatami atmospheric popu; „Friend of a Friend” z bardzo przebojowym refrenem i świetnymi syntezatorami, czy dziwacznie pocięte perkusją „Half Alone” z przepięknie wkomponowaną, konkretną gitarową solówką – to wszystko bardzo mocne punkty tego longplaya.



# PLATZ



dokończenie ze strony poprzedniej

Longplay użyty jest tu zresztą nieprzypadkowo. Jediną rzeczą, którą można zarzucić chłopakom z Kyte w przypadku krążka sprzed 3 lat to to, że jest za długi (52 minuty). Nie widzę tej płyty bez ukradzionych Sigur Rósowi „September 5th” i „Every Nightmare”, które są pięknym preludium do optymistycznego, wakacyjnego „Aerials”, ale są tu też piosenki, których można by się pozbyć. Choćby „You&I” – promującego krążek singla, przypominającego słuchaczowi podeptane stopy po tańcu-przytulańcu ze szkolnej dyskoteki (przecież gdyby DJ-owi skończył się arsenał nudnych smutów, do których można oddawać się tej wątpliwej przyjemności, na pewno użyłby singla tego nieznanego powszechnie bandu!) czy kompletnie nieudane kompozycyjnie „Blood Anger” i wokalnie „Over, After”. Wokalnych niedociągnięć jest tu zresztą trochę. Nick Moon, lider Kyte używa swojego wysokiego, falsetowego głosu tak, że wtapia się najczęściej w gęste tła i mocne elektroniczne brzmienia. Z jednej strony – taki jest zamysł, z drugiej – z części piosenek można by „wycisnąć” więcej.

Jeśli macie ochotę na dobry alternatywny pop, opcje są dwie: spędzić kilkadziesiąt godzin na przestuchiwaniu 25 zespołów, które właśnie dziś na Spotify wydały swój debiutancki, przelotowy album (uwaga, wysokie ryzyko zawodu) albo docenić niedocenione. Kyte'owi za „Love To Be Lost” uznanie naprawdę się należy.

\*\*\*



Kuba Jeziorek  
Martyna Kula

## Mary Komasa Mary Komasa

Powstało już bardzo wiele recenzji tej płyty, co mnie zaskakuje, bo Mary Komasa to świeża krew na naszej scenie muzycznej. Niejedyny to powód – nazwisko w tym przypadku znaczy wyjątkowo wiele, bo wokalistka to córka aktora Wiesława Komasy oraz siostra Jana, który jest reżyserem. Nie chcę oceniać debiutującej artystki przez pryzmat jej powiązań, nie będę zadawać także pytań o to, jak wypada na tle swojej rodziny. Całe szczęście, nie to stanowi podstawową kwestię, którą chciałabym podjąć. Zainteresowałam się Komasa, gdyż autorzy wszystkich znanych mi opinii niemal chóralnie głoszą na jej cześć peany, według mnie, zupełnie niezastępowane. I to nie jest tak, że nie zgadzam się z patriotycznym „dobre, bo polskie”. Chciałabym tylko zadać dwa kluczowe pytania: na ile ta świeża krew jest faktycznie świeża oraz ile w tym polskości, skoro przez tę właśnie kategorię zalecono nam muzykę Komasy rozpatrywać?

Mary Komasa, czyli wszystko już było – brzmi to postmodernistycznie, jakbym była przekonana o wyczerpaniu znaków - a co za tym idzie - o zupełnej bezsilności twórców w czasach nowoczesnych. Nic bardziej mylnego. Wysoce cenię wszelkie nawiązania, nie tylko te w muzyce. Wszelkie ślady, echa i tropy po pierwsze dopełniają treść, po drugie prezentują erudycję artysty, po trzecie wreszcie, stanowią dla odbiorcy pewien kontakt z autorem, który puszcza do nas oko i w jakimś stopniu testuje naszą wiedzę. Dlaczego więc w przypadku Mary Komasy nie mogę się zwyczajnie cieszyć tak bogatymi nawiązaniem?

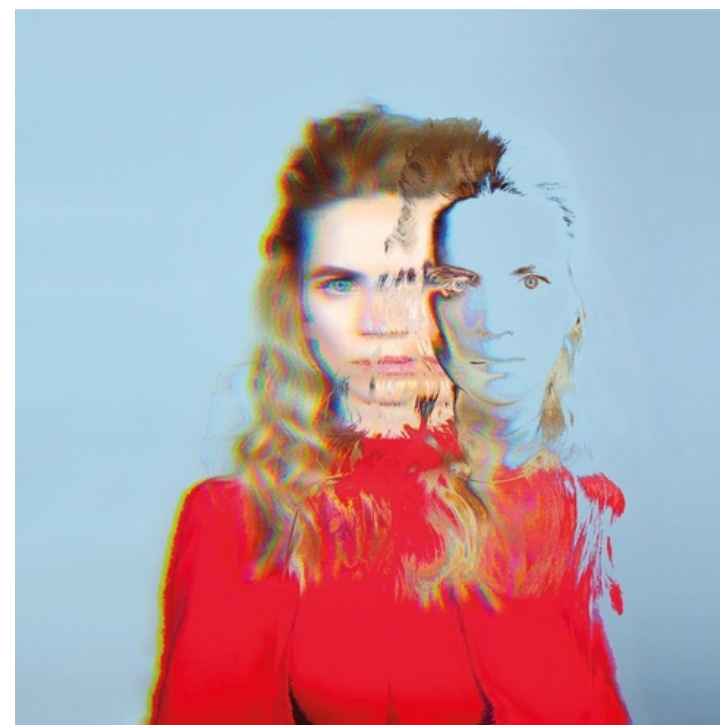
To nie jest przecież zła płyta - nie dokucza nam po niej niestrawność lub, obrazując zupełnie skrajnie, nie ma się ochoty tego krążka wyrzucić do kosza. Jedenaście utworów całkiem zgrabnie i dosyć niepostrzeżenie zapętla nam nieco ponad trzy kwadransy. Głos Komasy jest elastyczny, brzmi przyjemnie we wszystkich odstępach, które zaserwowano w inicjalnej odstępach. Z kolei kompozycje są ascetyczne, chwilami odrobinę nużąco jednostajne, ale w końcowej ocenie co najmniej poprawne. A jednak mam z Mary Komasa problem i takie podsumowanie nie wystarczy.

Tutaj wcale nie trzeba wprawionego ucha. Polska Nancy Sinatra w "Sweet Revenge", polska Lana del Rey w "Smiling Moon", polska Lykke Li w "City of my dreams", polska Alison Moshart w "Oh lord", polska - o zgrozo! - Rihanna w "The Void". A kim jest Mary Komasa? Po kilkudziesięciu przesłuchaniach - nie wiem. Na fanpage'u znalazłam taki oto opis: „+ + + don't leave me here alone + + +”, żywcem wyjęty z utworu otwierającego płytę. Tym niewielkim gestem artystka prawdopodobnie sugeruje nam, iż chciałaby być odbierana wyłącznie przez swoją twórczość. Zgoda, nie mam zamiaru nachalnie zaglądać w jej prywatną sferę. Historie, które Komasa opowiada, być może są osobliwe, ale niestety nie jesteśmy w stanie tego dostrzec, gdyż zostały przestonięte niezliczoną ilością podobieństw w warstwie brzmieniowej. Jeżeli rozbierzemy tę płytę na części, to otrzymamy nagi mariaż wszystkiego ze wszystkim i okazuje się, że u samej podstawy nie ma tak naprawdę nic. Nie chodzi o to, iż Komasa garściami czerpie z bluesowych melodii, że mogłaby śmiało tworzyć soundtracki do filmów Lyncha, że - niech już będzie - łączy w jednym The Knife, Alphaville, The White Stripes i wielu, wielu innych. Dlaczego z możliwościami, które bez dwóch zdań posiada, zamiast bawić się tworzywem - modyfikować je, przeobrażać, polemizować z nim - Komasa wybrała kalkowanie? Czy to można jeszcze nazwać świeżością?

Płyta jest mocno kosmopolityczna i tego, w moim odczuciu, nie można postrzegać jako ujemny. Mary Komasa obecnie tworzy w Berlinie, śpiewa wyłącznie po angielsku, a producentem debiutu jest Guy Sternberg. Jednak w świetle tego, co do tej pory napisano, jestem malkontentką, bo nie cieszę się ze świetnej, polskiej muzyki. Ale cóż to właściwie za argument? Owszem, Mary Komasa jest Polką, ale czy to już zobowiązuje

nas do dawania jakichkolwiek ulg? Nieważne, że płyta jest zdepersonalizowanym powtórzeniem, liczy się to, że jest polska (co zresztą, jak widać, wątpliwe)? Bądźmy dumni i zawsze wspierajmy Polaków, ale nie popadajmy w megalomanię.

Komasa nagrała materiał nieco barokowy w swojej postaci - potoczyła w jedno wiele osobowości i nurtów, a zapomniała chyba o samej sobie. Spotyka się z pozytywnym odbiorem, co właściwie mnie nie dziwi. W całokształcie to rzeczywiście miły, wpadający w ucho album. Ja mam apetyt na więcej, a ściślej - na Komasa. Raczej nie w najczystszej postaci, którą można pojmować jako oderwanie od wzorców, ale na pewno w kontekście nieneutralnego odniesienia do źródeł. Pamiętam, że to debiut i z niecierpliwością czekam na kolejne rozdanie.





## Król Wij

Pamiętam, gdy Błażej Król razem z Maurycym Kiebzakiem-Górskim grali na gdyńskim Open'erze w 2012 roku. Tworzyli wówczas formację UL/KR i promowali swój debiutancki album o takim samym tytule. Występowali bardzo wcześnie, około godziny 16.30. W namiocie znajdowało się może z trzydzieści osób, w tym część tych, którzy o duecie mieli usłyszeć po raz pierwszy w życiu. Pomyślałam wtedy, że w takim razie jest to moje prywatne odkrycie – koncert odśpiewaliśmy właściwie we trójkę. Mogłam sobie UL/KR mieć na wyłączność. Jednak Błażej Król w swojej hawajskiej koszuli, z „łap mnie, łap mnie, bo na nogach się staniam”, na ustach nie pozostawiał żadnych złudzeń – wiedziałam, że kiedyś wyłoni się z tego nowy porządek, coś jeszcze lepszego jakościowo, co trafi do znacznie szerszej liczby odbiorców.

To było zaledwie mgnienie. Podczas drugiego dnia OFF Festivalu 2014 w Katowicach Król wystąpił już z solowym materiałem z płyty „Nielot”. Namiot wypełnił się po brzegi, publiczność – co tu dużo pisać – wyczekiwała i była w pełni świadoma na co, a ze sceny nieustannie płynęło rozbijające „dzięki, hej!”.

Z kolei tego lata Król zagra na festiwalu Tauron Nowa Muzyka, ale bynajmniej nie będzie to zeszłoroczna repetycja. Muzyk zaprezentuje się z nowym krążkiem, tym razem nie spod znaku Thin Man Records, ale wytwórni Kayax. Pora więc włączyć „Wija” i skonfrontować go z „Nielotem”.

Król nie pojawił się znikąd. Jasne, zaczynał w Kawałku Kulki lata temu, ale to przecież w tej perspektywie dość mało istotne. UL/KR miejscami przyjemnie pachniało Animal Collective i ta namiastka w artyście pozostała, co oczywiście wartościować możemy tylko in plus. Czulo się w kościach, że w Błażeju drzemie ogromny potencjał i wszystko, co wyda, będzie co najmniej dobre. Nikt nie spodziewał się jednak tak solidnej dawki orzeźwienia.

„Nielotem” Król skutecznie złapał w swe sidła słuchaczy i krytykę. Wibrujący, depresyjny wokół wybrzmiewający na tle syntezatorów,

ocierał się wielokrotnie o teatralność, ale w taki sposób, że chciało się podwójnej dawki tej egzaltacji. Bez znaczenia, czy serwowana przez wokalistę muzyka czasem kipiła sztucznością, a chwilami odbijała rzeczywistość. Nie zmienia to mimo wszystko faktu, iż ten charakterystyczny zapach debiutu mógł być tylko jednorazowy. Król o tym doskonale wiedział, więc oto nadchodzi z „Wijem” w podwójnej, paradoksalnej odstępnie: znów debiutuje, ale jednocześnie domyka drugi rozdział solowej twórczości. Nic w tym wprowadzie dziwnego, bo u Króla przecież nic się nie klei.

Krąg Królewskiej semantyki, która stanowiła anturaz „Nielotu”, tak naprawdę w zupełności nie zanika. Płytę otwierają słowa: „bez korzeni rosnę – i do światła tyłem – moje jestem i będę – zapomniałem gdzie byłem”, ale Król nie zapomina i analogicznie do „A więc teraz” sytuuje nam siebie w przestrzeni płyty. Królewski ulubieniec zamienia się tu w podmiot zły, który sięga po estetykę brzydoty. Później stale będzie ujawniać się heterogeniczność artysty – biorąc pod uwagę teksty, jest jeszcze bardziej abstrakcyjnie niż wcześniej. Tutaj też zauważam różnicę między dwiema płytami. Król pisał i ciągle pisze miniaturowo i lakonicznie, to na pewno. Uległy przekształceniu natomiast proporcje wokalu oraz muzyki: o ile na „Nielocie” pierwszoplanowy był śpiew Błażeja, to na „Wiju” jest jedynie tłem, rozmywa się pod ciężarem melodii, które tworzą wspólnie patchworkową tkaninę. Bo są i echa Cocteau Twins, bo słychać tu i ówdzie Depeche Mode, bo... tak, jest w tym jakaś iskierka Bajmu. I to nie żart.

W kilku recenzjach, które przeczytałam, przede wszystkim napisano, że to gest cofnięcia się o dwie, trzy dekady. Racja zupełna, ale jest tu sporo elementów dream-popowych w stylu Beach House albo chociażby niespieszność rodem z Chromatics. Chciałabym to zaznaczyć, bowiem umieszczenie tej płyty wyłącznie jako pewnej reminiscencji jest sporym uproszczeniem.

Zmusza mnie to w tym momencie do powrotu do stwierdzenia: u Króla przecież nic się nie klei. Czy to inspiracje na poważnie, czy artystowska kpina? Romantycznie przeniesieni jesteśmy do baśni, to za chwilę podaje się nam wyłupane oko i wylaną żółć. Do tego tropy muzyczne, które

wymieniłam wyżej. Co z tym Bajmem? Królowi chyba chodzi właśnie o efekt skrzywionego zwierciadła, o zlikwidowanie wszelkich możliwych skostnień w pojmowaniu muzyki. Kicz pełnoprawnie sąsiaduje tu z doskonałością i jest to efekt jak najbardziej przemyślany.

Jeden z recenzentów zasugerował pewne stadia działalności Króla. Symboliczną drogę Błażeja można wówczas przedstawić w triadzie mrok – światło – dyskoteka (rozpatrywaną w sensie pozytywnym). Myślę, że nie są to odrębne etapy, a jedynie kolejno dokładane do siebie części, które składają się na ogólną kompozycję „Wija”. Porównajmy chociażby czołowe single z dwóch krążków – ewidentnie w „Zakłęciu” wartością naddaną jest taneczność, a eteryczne „Szczenie” zachowuje symbiozę ciemności i jasności. Pozostaje pytanie, czym Król zaskoczy nas w kolejnej odsłonie? Bo to, że znów zabawi się konwencją w zaskakujący sposób, nie ulega wątpliwości.



## Fever Ray Fever Ray

Utwór „If I Had A Heart” otwiera pierwszy, i do tej pory jedyny, solowy album Karin Dreijer Andersson. Gdyby Fever Ray, bo pod takim pseudonimem w 2009 roku Szwedka zrealizowała swój projekt, rzeczywiście serce miała, to być może nie pozwoliłaby swoim fanom czekać aż tak długo. Branie pod uwagę kategorii czasu oraz spełniania oczekiwań to w przypadku artystki wysoce ryzykowne kwestie. Czy o sześćioletnim już milczeniu mamy myśleć jako o milczeniu w ogóle? A może Fever Ray to jednorazowy wykwit, ot, produkcja, którą powinniśmy rozpatrywać jednostkowo, bez żadnych przedtem i potem? Sympatycy marzą o nowym materiale, ale nie oszukujemy się – najprawdopodobniej jest to tylko pobożne życzenie.

Po pierwsze: jak się ma ten projekt do piętnastoletniej działalności Karin w The Knife? Nie powinno się tego kontekstu izolować, ponieważ i Olof Dreijer stworzył Fever Ray. Nie ma mowy o powieleniu wzorca, chociaż odpryski The Knife są niemalże namacalne. Znacznie bliżej tu jednak do nieczęstej chropowatości i sentymentu niczym w balladzie „N.Y. Hotel” niż do sztandarowego, witalnego „We Share Our Mother's Health”. Jeśli więc ktoś nie podziwia The Knife, wcale nie oznacza to tego, że nie pokocha Fever Ray.

Po drugie: ubiegłoroczna trasa koncertowa The Knife promująca „Shaking The Habitual”, została zapowiedziana jako ostatnia w historii zespołu. Wnioski nasuwają się same - Dreijer nie ma żadnych wiążących zobowiązań wobec formacji macierzystej (mam na myśli The Knife, chociaż w tym miejscu dla porządku należy wspomnieć, że pierwszym zespołem, w którym śpiewała Karin, był Honey Is Cool), a więc nadszedł czas na zachowanie pewnej ciągłości. Zastanawiam się tylko, czy wcielenie Karin jako Fever Ray jakiegokolwiek kontynuacji potrzebuje. To, co udało się zgromadzić na tym szczególnym albumie, jest zupełnie spójną, zamkniętą kompozycją. Rzecz jasna, nie chodzi mi o to, że konwencja mogłaby się wyczerpać. Nie podejrzewałabym artystki także o ewentualną wtórność. Nie uważam też, że mogłaby swój minimalizm

przekształcić w coś, według mnie nieczytelnego, tak jak ostatnimi czasy zrobiła to Björk. Nie czekam na powrót Fever Ray pod znaną nam już doskonale postacią, bo ta płyta syci. Syci całkowicie nawet sześć lat po premierze.

Nie będę pisać o mantrycznych melodiach, skandynawskim chłdzie czy o Karin jako szamance. O tym napisano już zgoła sporo i wyczerpująco. Chciałabym przedstawić moją prywatną recepcję płyty po co najmniej setnym jej odsłuchaniu na przestrzeni tych kilku lat. Na ile wdarliśmy się do hermetycznego świata albo zapytam inaczej: czy chociaż dostrzegliśmy jego majaczące kształty? Przypomnę tu wcześniejsze perypetie The Knife – rodzeństwo jak ognia unikało mediów, a przez długi czas muzycy odmawiali nawet publicznych występów. Znakiem rozpoznawczym były także maski, które Dreijer zakładała również jako Fever Ray.

W miarę zanurzania się w warstwie lirycznej, odnosiłam wrażenie, że Karin – tak niezwykle wsobna, z którą kojarzy mi się permanentny ruch do wewnątrz – zrzuciła z siebie zagadkowość niczym płaszcz i wreszcie otworzyła przed nami swój mikrokosmos. Utwierdzałam się w przekonaniu, że furka do wymarzonego nadmorskiego domu z „When I grow up” została uchylona. Takie było pierwotne wzruszenie, bardzo złudne, ale jakże komfortowe i satysfakcjonujące. Detale, metaforyka żywiołów, roślinność, dzieciństwo – jak dobrze to znamy, a jak nam w tym bezpiecznie. Dreijer stworzyła iluzję, w której jej „osobiste” miało uniwersalnie nałożyć się na nasze doświadczenia. Wchłonęłam tę pozorną intymność prawie od razu. My też żyjemy w końcu pomiędzy betonowymi ścianami.

Płyty nie słuchałam później bodajże przez dwa lata. Powróciłam do niej po obejrzeniu znakomitych „Wyśnionych miłości” Xaviera Dolana. Utwór „Keep The Streets Empty For Me” obok, co warto zaznaczyć, „Pass This On” The Knife, znalazł się w soundtracku filmu francuskiego reżysera.

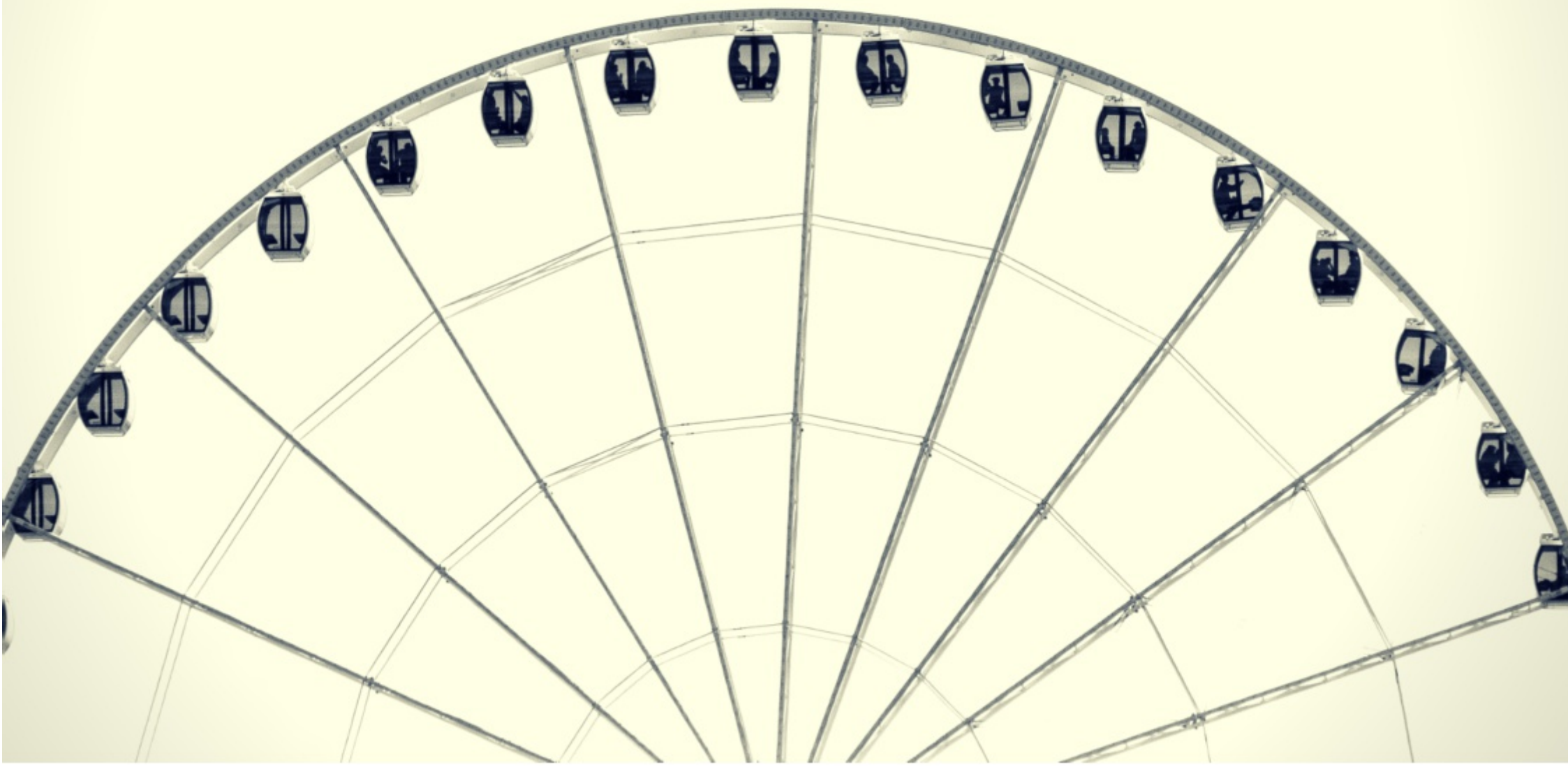
Teraz dostrzegam, że owszem, było to odstąpienie, ale zaledwie kawaleczka, który wystaje spod maski. Bardziej zuchwałą opcją byłoby stwierdzenie, że to twarz niezastonięta, ale wymyślnie umalowana lub zamalowana wzorem inspirowanym kulturą Wschodu, tak jak widzimy to

na zdjęciach. Twarz sztuczna, nigdy nie sauté. To, co sprawiało wrażenie przekazu literalnego, roztopiło się w surowości brzmienia i monochromatycznych wizualizacjach. Karin znów jest enigmatycznie nieosiągalna, dryfuje na peryferiach, a intymność wcale nie została obnażona. Na tę chwilę nie czuję minionej wspólnoty, muszę ponownie wstuchiwać się i próbować zatonać. Jest to dla mnie doskonałe, bowiem chciałabym w każdej możliwej dziedzinie sztuki takich właśnie powrotów – wielowymiarowych oraz symbolicznych. Płyta – wbrew tytułowi jednej z piosenek „I'm Not Done” – jest skończona i dopieszczona pod każdym względem. Ogień na nowo rozpala się w śniegu. W tym ujęciu, obojętnie czy to tylko pauza, czy wieczne milczenie – wyjątkowo mi odpowiada.





# jeszcze raz cykl o coverach



# PLATZ



Wolimy oryginały. Oryginalne Adidasy z trzema, a nie czterem paskami, oryginalny iPod, czy choćby oryginalny Snickers z orzeszkami, obłany czekoladą. Ale zdarza się, że czasami batonik snickersopodobny smakuje nam bardziej niż oryginalny. Co wtedy? Z naszym gustem jest coś nie tak? Nie, oznacza to tylko, że batonik snickersopodobny został zrobiony tak samo dobrze, a czasem może nawet lepiej, niż oryginalny Snickers. Podobnie jest z coverami piosenek. Są wykonania, które zawsze będą brzmieć dobrze tylko w oryginale ale znajdują się również i takie, które zostaną zagrane i zaśpiewane lepiej od oryginału. Takie nagrania zyskują czasem większą popularność niż ich pierwowzory. Można też trafić na covery tak fatalne, że mogłyby one posłużyć za wzór jak nie powinno się tworzyć coverów. Mnie udało się znaleźć kilka wybitnych i niedocenionych coverów, które mogłyby być oryginalnym, osobnym tworem. Są też takie, z którymi mam problem, i takie, których już nigdy więcej nie posłucham.

Listę otwiera „The Man Who Sold The World” Davida Bowiego. Nagranie fantastycznie brzmi w oryginale i nie mogło narzekać na brak popularności. Ale utwór zyskał jeszcze szersze grono fanów za sprawą coveru Nirvany. Kurt Cobain to legenda podobnie jak Bowie. Trzeba przyznać, że jego wykonanie było równie fantastyczne. Można powiedzieć, że nadał jej odpowiedniego sznytu. Jest to dobry cover, ale niestety dla mnie pozostanie tylko dobry. Niedoceniony za to został Midge Ure ze swoją elektro-popową wersją. Gitarowy riff z intro został zastąpiony syntezatorem, a Ure śpiewa jakby to on sprzedał świat, a teraz tego żałował. Cudowny, niedoceniony, a przez fanów Ultravox i Midge’a Ure uważany nawet za lepszy niż oryginał Bowiego.



Agnieszka  
Błędowska

Kto nie zna „Sweet Dreams (Are Made of This)” Eurythmics, żyje w innym świecie. Oryginał kojarzą wszyscy, nie wszyscy za to znają wersję Marilyną Mansona. I dobrze. Zazdrozczę im. Z definicji cover to nowe zaaranżowanie istniejącego już nagrania. Dodanie czegoś od siebie, nowa interpretacja. Wydaje mi się jednak, że Marilyn Manson, chcąc tak bardzo stworzyć coś nowego i niezwykłego, stworzył trwającą ponad cztery minuty kichę. Wiem jaką muzykę tworzy Manson, ale nagranie jest spowolnione do granic możliwości. To zwyczajnie nieudany cover. Jednak nie lepsza była Natasha Khan z zespołu Bat for Lashes. Zdecydowanie bliżej mi do estetyki tego bandu, ale ta wersja nie pozostawia po sobie żadnego śladu. Prosta aranżacja, ładny głos Khan i... tyle. Warto posłuchać, ale oba te covery są przykładem na to, jak coveru tworzyć się nie powinno.

„Feeling Good” to klasyka. Klasyka w wykonaniu Niny Simone. Ale to nie Simone śpiewała tę piosenkę jako pierwsza. Mało kto wie, że nagranie pochodzi z musicalu „The Roar of the Greasepaint – The Smell of the Crowd” i oryginalnie śpiewa je Cy Grant. Zostańmy jednak przy tym, że nic nie przebije Niny Simone. Jej wersja „Feeling Good” była tak dobra, że dziś mało kto pamięta o wersji Cy’a Granta i wszyscy myślą, że to Simone jest autorką piosenki. Świadczy to jedynie o tym, że cover może przebić oryginał. Wydaje się więc, że skoro Nina Simone stworzyła takie arcydzieło, nic ani nikt go nie przebije. Ale są wykonawcy którzy podjęli się wyzwania i tak oto – oficjalnie – zespół Muse nagrał najlepszy cover „Feeling Good” wszech czasów. Tak przynajmniej twierdzi New Musical Express. Z większością rzeczy, które wypisuje NME nie zgadzam się, jednak w tym przypadku mają rację. Muse nagrał rewelacyjny cover –

z nową, rockową aranżacją - potwornie emocjonalny, okrutnie dobry. Bellamy był na tyle twórczy, że jedną ze zwrotek postanowił zaśpiewać przez megafon. Dla mnie i dla NME zastużony numer jeden.

„Toxic” to kompozycja z dobrą elektro-popową aranżacją, fantastycznie zaśpiewana przez Britney Spears. Dzięki tak doskonałej linii melodycznej, nagranie można przerobić na każdy inny dowolny gatunek muzyczny. W ten sposób narodziła się nowa jazzowa aranżacja Marka Ronsona. Brytyjczyk poświęcił cały album na covery piosenek. Wersja Ronsona mogłaby uchodzić za cudowny, samodzielny utwór. Gdyby ktoś nie wiedział, że pierwowzór jest nagraniem popowym, można by w ogóle nie wpaść na to, że mamy do czynienia z coverem. Gładki wokal i rapowe wstawki nadają piosence zupełnie innego charakteru. Szczerze polecam nie tylko to nagranie, ale całą płytę Marka Ronsona zatytułowaną „Version”. Znalazło się na niej siedemnaście coverów, między innymi „Toxic” (żaden z utworów nie jest śpiewany przez Ronsona).

Przyznam szczerze, że na cover „Dancing On My Own” wykonany przez Kings of Leon, nie trafiłabym sama. Oryginał śpiewa Szwedzka wokalistka popowa – Robyn. Potwornie dotujący tekst w akompaniamencie syntezatorów brzmi tragicomicznie. Ale dzięki coverowi Kings of Leon utwór brzmi tylko tragicznie. I nie chodzi o to, że jest źle wykonany, zaaranżowany czy zaśpiewany niedbale. Wszystko jest tak jak być powinno. Cały utwór nabrał bardziej dramatycznego charakteru właśnie dzięki nowej aranżacji i emocjonalnemu wokalowi, który rozdziera serce. Zwłaszcza kiedy wstuchamy się w słowa piosenki. „Dziewczyński” tekst zaśpiewany przez Caleba Followilla nie brzmi „dziewczyńsko”. Zespół zupełnie zmienił brzmienie nagrania. Już chciałam postawić krzyżyk na Kings of Leon, spodziewałam się czegoś strasznego, jednak daję zespołowi drugą szansę i polecam ich cover – jest tragicznie dobry.

Na pewno wszyscy pamiętają reklamę telewizorów Sony Bravia. Tę, w której przez ulice San Francisco spada tysiące kolorowych kauczukowych piłeczek, a z rynny wyskakuje żaba. W tle można usłyszeć piosenkę „Heartbeats” w wykonaniu Jose Gonzalesa. To tylko gitara akustyczna i łagodny wokal, nic więcej. A jednak nagranie zrobiło furorę i dziś mało kto pamięta – albo w ogóle wie – że to cover. Oryginał należy

do Szwedzkiego zespołu The Knife. Nagrania różnią się od siebie diametralnie. Kiedy The Knife wykorzystują syntezatory i hawajskie brzmienie steel panu, a wokalistka śpiewa słowa piosenki jakby od tego zależało jej życie, Jose Gonzales rezygnuje ze wszystkiego. Syntezatory i steel pan zastępuje zwykła gitara akustyczna, a wokalista śpiewa jakby do snu. W aranżacji Gonzalesa piosenka nabiera zupełnie innego charakteru, niekoniecznie gorszego. Z elektropopowej petardy stała się ładną kotysanką, której nie można odmówić uroku.

Ostatnim coverem w tym wydaniu będzie nagranie „Running Up That Hill”. Utwór pochodzi z płyty Kate Bush – „Hounds of Love”. Oryginał zawsze kojarzył mi się z dźwiękiem jaki wydają koła rozpedzonego pociągu. Szybki, rytmiczny stukot. A w tle trochę syntezatorów, które zastępują dziwny pociągowy klakson. Zespół Placebo pozbył się z zarówno szybkiego, pociągowego rytmu jak i klaksonu. Zamiast stukotu kół można usłyszeć coś, co bardziej przypomina bicie serca – pulsujący dźwięk, który stwarza wrażenie jakbyśmy słuchali odgłosów własnego ciała – a klakson został zastąpiony zwykłymi klawiszami. Dodajmy do tego osobliwy wokal Briana Molko i voila! Powstaje piękna, mroczna i smutna ballada. Jednak cudowność tego coveru nie polega na nowej, zupełnie odmiennej aranżacji. Wersja Placebo ma w sobie o wiele więcej napięcia; tworzy też intymność między słuchaczem, a utworem, której zabrakło u Kate Bush. Ta aranżacja wciąga, żeby móc bez skrępowań wypluć w momencie, w którym dobiega końca. Staje się więc czymś obok czego nie można przejść obojętnie.

Jeszcze więcej coverów znajdziecie w wersji online wydania zerowego. Zapraszamy na [magazynplatz.weebly.com](http://magazynplatz.weebly.com)



# PLATZ

ogląda

*cinema*

Whiplash

Zapaśnik

Mad Max 4



# PLATZ



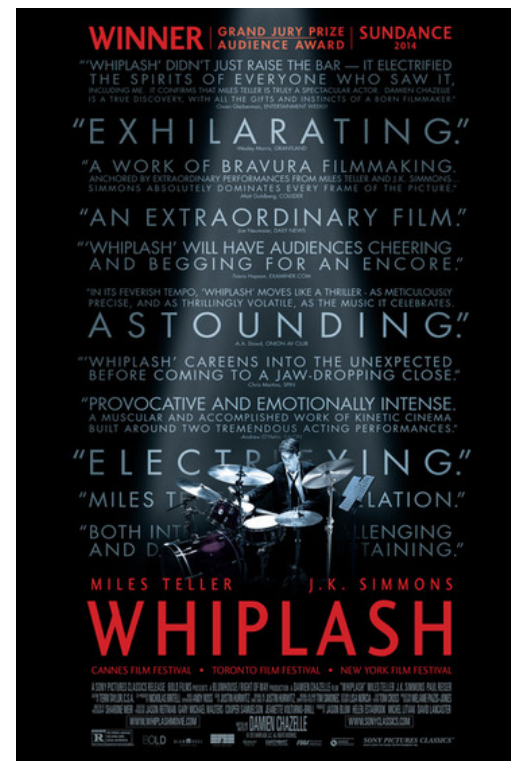
## Whiplash

Historia relacji pomiędzy tyranem-dyrygentem, nauczycielem w najlepszej szkole muzycznej w kraju a niesfornym uczniem, który pragnie należeć do grona najlepszych perkusistów w historii jazzu. Czy taka charakterystyka nie wydaje się zbyt banalna dla filmu „Whiplash” Damiena Chazelle’a?

Kilka uderzeń i na czarnym, jak dotąd, ekranie pojawia się chtëpak przy perkusji. Wściekle w nią uderza, na jego twarzy maluje się determinacja. Ale nie to zwraca naszą uwagę, tylko muzyka, która gra pierwsze skrzypce już od samego początku filmu. A może trzeba powiedzieć, że pierwszą perkusję? To nie jest film o młodym muzyku, który szkoli się w jednej z najlepszych szkół w kraju, zaczyna grać na poziomie swoich idoli i do końca życia zbiera laury ze sceny. Historia, którą prezentuje nam Chazelle kryje w sobie wiele dwuznaczności i pytań, na które, być może, nie ma odpowiedzi. Tutaj ma znaczenie, które miejsce w szeregu zajmujesz. Ważna jest też cena, jaką musisz za nie zapłacić, a jest ona wysoka, bo nie tylko kosztuje Cię wiele czasu oraz determinacji, ale także, a może przede wszystkim, stalowych nerwów. Ta historia nie ma w sobie nic ze standardowego repertuaru muzyka.

Muzyka nie tylko jest tłem, ale także, a może przede wszystkim, bohaterem historii. Mało tego, jest to jazz. A jazz – jak dowiadujemy się z filmu – to krew, pot i łzy, nie lotna melodyjka grana dla przyjemności. Reżyser doskonale oddaje jego charakter, zostawiając gdzieś po drodze zabawę i lekkość, która powinna towarzyszyć tworzeniu. Nie dla Chazelle’a. Tutaj dostajemy solidną dawkę dobrego kina. Kina, w którym każdy kadr jest przemyślany, muzyka nie tylko jest muzyką, a aktorzy

nie grają, ale są swoimi postaciami (J.K. Simmons jako niezwykle przekonujący i absorbujący dyrygent Terence Fletcher oraz Miles Teller w fenomenalnej roli Andrew Neimanna).



Sposób kręcenia momentami przywodzi na myśl „Requiem for a dream” Darrena Aronofsky’ego, jak chociażby scena pierwszej próby Neimanna u Fletchera. Tamtejszy fast cutting (czyli sekwencja różnych ujęć, nie trwających dłużej niż 3 sekundy) widoczny jest także u Chazelle’a. Szybki montaż i kamera skierowana na poszczególne, nagle zmieniające się elementy przenoszą widza nie do pozycji obserwatora, ale uczestnika próby. Nie jesteśmy biernymi widzami. My jesteśmy muzykami – widzimy pot na talerzach perkusji, wypływamy



Aleksandra Młyńska

# PLATZ



Aleksandra Młyńska  
Dagmara Adamczyk

dokończenie ze strony poprzedniej  
nagromadzoną w trąbce ślinę i masujemy oboląte dłonie. Jeśli wchodzisz, to nie przekraczasz progu stopą, ale wchodzisz całą. Bo tak właśnie działa Chazelle – nie pozostawia nas obojętnymi ani na muzykę, ani na akcję filmu. Wywołując w nas emocjonalny rollercoaster, tracimy prędkość.

Relacja Terence'a Fletchera i Andrew Neimanna nie jest oczywista, choć tak mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka. Tyran, który wyciąga z ucznia wszystko; nawet to, czego ten nie jest w stanie mu dać. „Prowokowałem ludzi do przekraczania własnych granic” – to słowa wymawiane przez niego do Andrew, słowa kluczowe dla tego filmu. Fletcher trenuje, rządzi na ringu i obija Ci mordę jeśli nie potrafisz rozpoznać tempa. Albo rzuca w Ciebie krzesłem. Andrew pozornie doskonale wpasowuje się w nadaną mu przez mistrza rolę. Pozornie, ponieważ to nie jest kolejna owieczka w stadzie, ale osoba, która dorasta wraz z rozwojem akcji filmu. Młody chłopak staje się mężczyzną świadomym swoich decyzji i ich ciężaru, co widzimy w końcowej scenie.

Związek tej dwójki jest jak połączenie benzyny z ogniem – widok spektakularny, ale czy to skuteczne? I, pytanie najważniejsze, czy nie zabójcze? W relacji Fletchera i Neimanna nie ma miejsca na słabość i żale. Nie ma też miejsca na równość. W walce o jakość muzyki, rodzi się w Andrew walka o swój głos. Początkowo niepewny, nieśmiały i naiwny chłopak, otwiera się na nowe doświadczenia. I wychodzi z nich obroną ręką. Umawia się z dziewczyną, pokonuje słabości, ćwiczy i doskonali się za wszelką cenę. Jak Chazelle pokaże – nawet za cenę własnego życia. Ich stosunki to hybryda o wielu twarzach i do końca nie wiemy, która zostanie przed nami odkryta.

Droga do wielkości, choć prowadzi po rozżarzonych węglach, jest jedynym celem Neimanna (tak jak doskonałe brzmienie jest celem Fletchera). Historia chłopaka pokazuje, że talent to nie iskra boża, ale przejście przez mękę. I nie chodzi tu o ćwiczenie do upadłego, dostanie się na szczyt własnych możliwości, ale o drogę, którą trzeba odbyć z samym sobą. Bo trzeba niemal zaprzedać duszę diabłu, żeby przejść własne granice i przeżyć. Przeżyć i być wielkim.

\*\*\*

## Mad Max

„Good films make your life better”, jak głosi popularna internetowa grafika. Myślę, że to zdanie idealnie oddaje istotę kina: wartościowe filmy zostają w nas na dłużej. We mnie na pewno zostanie nowa część Mad Maxa wraz z całą swoją wyjątkowością.

Reżyserem produkcji jest George Miller, a realizatorem – John Seale. To z pewnością tym dwóm panom zawdzięczamy dwie godziny rozrywki, które są jednocześnie ucztą dla zmysłów.

Akcja rozgrywa się w postapokaliptycznym świecie, ogarniętym wojną i suszą. Ludzie łączą się w grupy umożliwiające przetrwanie. Jedną z założonych osad jest Cytadela, w której warunki dyktuje Wieczny Joe. Społeczność tworzą prości, brudni, łaknący wody ludzie, kobiety karmiące oraz błądzi, pokryci skaryfikacjami żołnierze (drony), to dla tych ostatnich tytułowy bohater zostaje porwany i wykorzystany, jako „dawca czystej krwi”.

Jednak w tej części serii główny wątek nie dotyczy Mad Maxa (w tej roli Tom Hardy), lecz innej, równie charakternej postaci – Furiosy – świetnie zagranej przez Charlize Theron. Furiosa, jako nastolatka została porwana z Zielonej Osady na wschodzie i pragnie tam



wrócić. Pewnego dnia dostaje zlecenie dostarczenia benzyny sprzymierzeńcom z innej osady i buntuje się – planuje ucieczkę, równocześnie ukrywając pod pokładem cysterny „skarby”, bo tak tytułuje swoje żony Joe. Ten wyrusza za nią szaleńczy pościg, pokonując pustynię, kanion i grzędzawiska. Po drodze kobiety i Max wpadają na siebie, są zmuszeni szybko zaakceptować sytuację i współdziałać. Z każdą kolejną minutą filmu między Maxem, a Furiosą tworzy się więź.

Twórcy kina akcji powinni brać przykład z Australijczyków. Nie ma tutaj początkowego wprowadzenia fabuły, widz zostaje od razu wciągnięty w konwencję, musi szybko łączyć wątki, jeśli chce zrozumieć ten filmowy świat i nadażyć za nim. Jedną z pierwszych scen, w której Mad Max próbuje wyrwać się Joemu jest dodatkowo przyspieszona. To przedsmak dalszego ciągu i jakby bodziec, przynęta. Widz szybko potyka haczyk i zostaje do reszty wciągnięty w wir akcji. Mad Max: Na drodze gniewu nie jest filmem, na którym można spokojnie siedzieć i rozluźnić się chrupiąc popcorn.

Można by pomyśleć, że oglądanie nieustannej akcji jest męczące, nużące i nudne, ale nie tutaj. W trakcie morderczej gonitwy napędzanej adrenaliną widz nie ma na czasu pomyśleć o zmęczeniu, bo pościg gna w zabójczym tempie i pochłania nas do reszty. Jediną pauzą, która delikatnie zawiesza pęd filmu jest scena nocy spędzonej pod gotym niebem, kiedy to bohaterowie mają czas odetchnąć, porozmawiać o przeszłości i zaplanować przyszłość.

Na uwagę widzów, ale również krytyków czy jurorów, zasługują z pewnością zdjęcia. Już w pierwszej scenie, gdy widzimy pomarańczowy piasek, lazurowe niebo, wiadomo, że tym fantastycznym krajobrazem można się zachłysnąć. Pustynia – groźna, obca i jałowa – zachwyca niepokojącym pięknem. Panoramy pustynnych wydm, czy wyścig między zboczami malowniczego kanionu nadają filmowi niepowtarzalny klimat. Nawet piasek syjący się spod kół motorów tworzy koliste, ozdobne wzory. Akcja filmowana jest z każdej możliwej perspektywy: zarówno ze szczytów gór jak i spod podwozia samochodów, co dodaje wydarzeniom niezwyklej dynamiki. Dodatkowo reżyser razem z montażystką zabawili się kolorystyką. W ujęciach przeważają na zmianę barwy ciepłe lub zimne.

Nieliczne sceny są neutralne, a najpiękniej prezentują się te „mieszane”, na przykład, gdy „drużyna” Furiosy jedzie kabiną cysterny, dookoła rozciąga się chłodna, granatowa noc i jedynie na twarze dziewcząt siedzących na tylnej kanapie pada ciepłe światło trzymanej świecy. To oklepana fraza, ale sporo kadrów z tego filmu można by oprawić i powiesić na ścianie.

To dzieło, w którym wszystko jest niesamowicie wyraziste. Świat, obraz. I to samo można powiedzieć o postaciach. Aktorzy stworzyli prostych, ale nie przeciętnych bohaterów. Tom Hardy, jako szaleńczy, mściwy twardziel i Charlize Theron – kaleka, ale waleczna idealistka napędzana nadzieją. Motywacje wszystkich postaci są czytelne: przeżyć, wrócić do korzeni, umrzeć w chwale czy wyrwać się z niewoli. Tutaj każdy bohater ma znaczenie. Nawet początkowo bezużyteczne, ciężarne łańcuchy z czasem zdobywają się na odwagę i pomysłowość. Film nabiera feministycznej wymowy, gdy okazuje się, że Furiosa i jej damski zespół są bardziej zdeterminowane niż trzy oddziały dronów Joego.

Kropką nad i jest muzyka. Mimo, że wydawała mi się mało charakterystyczna, dochodzę do wniosku, że w tak nasyconym dziele coś musi zejść na drugi plan. Dzięki temu wszystko doskonale ze sobą gra. Dwóm godzinom ucztę obrazów towarzyszą ryki silników, wojenne okrzyki, ślepiec dyndający na przedzie ciężarówka, grający na elektrycznej, buchającej ogniem gitarze i stonowana melodia wpleciona pomiędzy wydarzenia. Twórcy idealnie wypośredkowali wszystkie elementy. Nikogo nie zemdle nieustanny zgietek, ponieważ w filmie równie często pojawia się cisza: po kilkunastu minutach gonitwy i wrzawy, parę sekund czarnego ekranu i milczenia pozwala złapać oddech, ale i podsyca napięcie.

To wszystko tworzy niepowtarzalny klimat pełen ruchu, barw, dźwięków, emocji. Uderza nas kontrast: dobrzy – źli, kobiety – mężczyźni, ucieczka – postój, śmierć – nadzieja, rude skały – buro niebieskie moczary, elektryczna gitara – pozytywka, ryk – cisza. To nie jest zwykłe kino akcji. To film widowiskowy, wściekły i niebanalny – skłaniający do refleksji.

Co jest ważne? Czy istnieją jeszcze ideały? Za czym właściwie cały czas tak gonimy? Po co nam wojny? Czy wolno rujnować Ziemię? Czy nie powinniśmy doceniać jej płodności zamiast wylewać kolejne autostrady? I wreszcie: jakie znaczenie w tym wszystkim ma człowiek?



## Zapaśnik

Pisząc o jakimkolwiek filmie naszych czasów powinniśmy zadać sobie kilka pytań, m.in. o kondycję kinematografii, o to w jakim kierunku zmierza kino? Czy cały czas można je nazwać formą sztuki, czy może staje się ono jedynie kolejnym źródłem potrzebującej rozrywki publiczności? Czy filmy potrafią zmieniać rzeczywistość i czy w dzisiejszych czasach mają jeszcze jakąkolwiek wartość?

Bo tak naprawdę wszystkie historie w kinie zostały już opowiedziane. Jeżeli przyrzeć się uważnie nie porusza ono, żadnych nowych kwestii. Kiedy zastanowimy się o czym tak naprawdę jest ten czy inny film okazuje się, że powstały już dziesiątki a czasem nawet i setki produkcji mówiących o dokładnie tym samym. Są to w kółko powtarzane opowieści, tyle że ubrane w zupełnie inną formę, o wiele atrakcyjniejszą, często nawet przyciągającą miliony widzów przed ekran.

Moim zdaniem w dzisiejszej kinematografii chodzi głównie o to, żeby pytania, istniejące od dawien dawna, cały czas utrzymywały się w świadomości ludzi. Za pomocą oryginalnego języka twórców, ciekawej wizji, ale przede wszystkim wciągającej oraz poruszającej historii, mogły na nowo zainteresować. Często bohater zostaje wtedy „wyrzucony” z jakiegoś stereotypu i musi skonfrontować się z zupełnie inną rzeczywistością, co ostatecznie buduje niekonwencjonalną opowieść.

O takich właśnie filmach chciałabym pisać. O filmach, które leżą gdzieś na obrzeżach popkultury, a zarazem trudno też je nazwać produkcjami niekomercyjnymi. O kinie, które potrafi wpływać na ludzi, może czasami nawet ich zmieniać, które poza atrakcyjną formą, ciekawą dla współczesnego widza, potrafi wzruszyć

i zaszczepić w nim jakąś głębszą myśl.

„W zapasach nie chodzi o sprawienie komuś bólu, to choreografia, jak w balecie.” – tak w jednym z wywiadów mówi odtwórca głównej roli w filmie Darrena Aronofsky’ego, Mickey Rourke. Trudno dodać coś więcej. Tak naprawdę zapasy opierają się na z góry ustalonej walce. Nawet w filmie pokazane są sceny omawiania pewnych chwytów, planowanie gry mającej się rozpocząć na ringu. Nikt tego nie ukrywa. Widzów to nawet nie interesuje, oni przychodzą, obejrzyć pewnego rodzaju show, popatrzeć na ogromną dawkę przemocy. Nietrudno się także domyślić, że amerykański idol, legenda zapasów, wygra z każdym innym przeciwnikiem. W gruncie rzeczy walki te mają na celu zaspokojenie potrzeb publiczności, która nie przybywa, żeby zobaczyć starcie dwóch równych sobie przeciwników, ale wiecznie żywego bohatera swojej młodości.

Film ukazuje kontrast między dwoma światami Randy’ego. Z jednej strony jest życie na ringu, gdzie Robinson staje się w oczach tłumu niezniszczalną ikoną. Potrafi przewyciężyć ból i mierzyć się z każdym, nawet najgroźniejszym, przeciwnikiem. Z kolei po zejściu ze sceny, podczas konfrontacji z rzeczywistością, okazuje się być całkowicie bezbronnym człowiekiem.

Darren Aronofsky w swoim filmie konfrontuje głównego bohatera z problemami zwykłych ludzi. Przykładowo, kiedy Randy podejmuje pracę w supermarkecie na początku stara się zabawiać ludzi, dostarczać im rozrywki, czyli robić dokładnie to, co próbował osiągnąć przez całe życie na ringu. Jednak nikt się nim nie interesuje, jest on jedynie ekspedientem podającym zza lady wędliny. Okrzyki podziwu i szum publiczności z ringu zamieniają się nagle na pełne



Maria Puch

obojętności ludzkie twarze, a on cały czas jest przecież stynnym zapaśnikiem, legendą ringu, Randym „Ramem” Robinsonem.

Darren Aronofsky mógł zrobić film o sportowcu na szczycie swojej kariery. Gdyby tak było w pierwszym ujęciu prawdopodobnie szedłby on wśród blasku fleszy, otoczony przez tłum oddanych wielbicieli. Tyle, że my na samym początku filmu widzimy go samego, w szkolnej sali, 20 lat po „punkcie kulminacyjnym” jego kariery. I to jest właśnie interesujące. „Zapaśnik” opowiada o człowieku, dla którego powoli zaczyna brakować miejsca na świecie. Każda jego próba oddalenia się od ringu i rozpoczęcia nowego rozdziału w życiu kończy się catkowitą porażką. Poza „Zapaśnikiem”, Aronofsky stworzył jeszcze dwa filmy, których bohaterami są ludzie próbujący wyjść po za schemat, przekroczyć granice (psychiki w „Czarnym łabędziu” oraz umysłu w filmie „Pi”). Dążą do perfekcji, próbują pokonać swoje słabości, przezwyciężyć ból. Są to ludzie owtadnięci przekonaniem, że znaczą coś więcej.

Z „Zapaśnika” bije realizm. Reżyser wykorzystuje słabości bohatera – zmęczone wysiłkiem ciało, niewyrażającą emocji twarz – żeby zbliżyć go do widza. Od samego początku mamy możliwość wejścia w najbardziej intymną sferę życia Randy’ego i przyglądać się jej. Kręcone z ręki ujęcia są kolejnym elementem, który nadaje historii naturalności. Kamera nadaje dynamizmu akcji, ale nie narusza rytmu historii ustanowionego przez reżysera. Jest to dzieło na pewno wykraczające po za przeciętność. Dodatkowo zaskakuje fakt, że zostało ono zrobione przy bardzo okrojonym budżecie angażując postrzeganego jako wypaloną gwiazdę, Mickey’a Rourke’a. Trudno ukryć, do czego także często powracają dziennikarze podczas wywiadów, że jego biografia jest diametralnie podobna do historii Randy’ego. Aktor przez długi czas trenował boks, co wpłynęło po pewnym czasie na jego wygląd oraz kondycję. Z kolei po serii kontrowersyjnych zachowań i skandali w świecie kina zaczął zostawać pomijany w interesujących filmowych produkcjach i jednocześnie na jakiś czas został wyrzucony z hollywoodzkiego obiegu.

„Zapaśnik” jest filmem na długo zapadającym w pamięć. To intrygująca opowieść, świetnie sportretowany i złożony bohater, film zrobiony w idealnym momencie, ze świetnym wyczuciem reżysera i bardzo dobrą grą aktorską. Krótko ujmując „Zapaśnik” zaskakuje, przenosi nas na ring i rzuca widzowi prawdziwe wyzwanie.







# najgorsze filmy swiata

cykl o filmach klasy B

Ludzie krety

Supergirl





Dobro i zło. Jedno nie może egzystować bez drugiego. Dobro nie miałyby żadnej wartości, gdyby nie przeciwwaga w postaci zła. Zło stałoby się czymś naturalnym, jeśli nie toczyłoby nieustannej walki z dobrem. Czym byłoby więc kino bez tzw. „złych filmów”? Jak docenialibyśmy dzieła wspaniałe, wyjątkowe, gdyby nie było tych tandetnych i kiczowatych?

Czy „Batman – Początek” został tak ciepło przyjęty tylko ze względu na swoją widowiskowość i znakomitą obsadę aktorską, czy może na jego pozytywny odbiór wpłynęła spektakularna klęska „Batman & Robin” z 1997 roku? Trudno jednoznacznie odpowiedzieć na to pytanie, jednak jedno jest pewne – „złe filmy” są nieodłączną częścią historii kinematografii i mają swoich oddanych fanów. Dziwne? W głowie niemal natychmiast zaczynają kłębić się wątpliwości, bo przecież jak można oglądać obrazy, którym przypięto łatkę kina niskich lotów?

Na początku należałoby zadać sobie fundamentalne pytanie: „czym są owe złe filmy i jak rozróżnić te warte uwagi od tych zupełnie bez wartości?”. Kwestią absolutnie najważniejszą jest fakt, że fani omawianego kina jak mantrę powtarzają zdanie: „im gorzej, tym lepiej”. Fatalna scenografia czy manieryczne aktorstwo są więc dla mnie mocną stroną filmu, świadczą o jego wyjątkowości, odmienności. Gdybym chciała oglądać wyłącznie obrazy niemal idealne, wypieszczone, z efektami specjalnymi za miliony dolarów i gwiazdorską obsadą, nigdy nie sięgnęłabym po kino niskich lotów. „Mordercze ryjówki” czy „Ludzie krety” są przyjemną odskocznią od Hollywoodzkiego patosu i perfekcjonizmu. Świat przedstawiony w ukochanych przeze mnie dziełach może i jest prosty, czasem wręcz prostacki, grubo ciosany, tandetny, ale to właśnie jego największa wartość. Szanuję i zwyczajnie lubię złe filmy

za ich odmiennność, bezpretensjonalność, niezamierzony humor. Tutaj nikt nie stara się osiągnąć ideału. By stworzyć obraz sci-fi wystarczy absurdalna historia o podziemnej cywilizacji, tektura i farby, z której powstanie scenografia i gumowy strój człowieka kreta. I nie ważne, że zazwyczaj wychodzi z tego chałta. Tu od widza wymaga się więcej. Poczucia humoru, cierpliwości, dystansu i przede wszystkim wyobraźni. To, co ledwo zarysowane, ukazane symbolicznie (często z powodu braku funduszy) musi zostać dopowiedziane przez odbiorcę. Gumowy potwór, pokazany przez kilka sekund w ciemnej scenerii – jak nic monstrualna kałamarnica. Człowiek z podejrzaną bladą twarzą – przerażający, krwiożerczy zombie! Pozbawione emocji odzywki skrajnie sztywnego, acz przystojnego głównego bohatera do pięknej niewiasty – ciekawie zarysowany wątek romantyczny.

Przyznaję, złe kino źle ogląda się w samotności. Jak już wspomniałam seans taki wymaga sporego dystansu do siebie i świata, czasem trudno zdzierżyć wszystkie głupotki i niedociągnięcia, jakie są nam serwowane, myślę jednak, że warto. Warto oderwać się od kina regularnie serwowanego nam przez telewizję i zamiast zasiąść po raz kolejny do „Pociągu z forsa” czy „Księcia w Nowym Jorku”, obejrzeć coś zupełnie innego. Zwłaszcza w dobrym towarzystwie. Może okaże się wtedy, że nie tylko humor się nam poprawił, nie tylko zyskaliśmy całe mnóstwo tematów do dyskusji („No nie mów, że dwugłowy rekin nie jest świetnym pomysłem!”), ale i wyobraźnia, po latach stagnacji, w końcu ruszyła do boju. I niech jest źle, absurdalnie, głupio, tandetnie. W końcu im gorzej, tym lepiej.

Zapraszam na mój cykl poświęcony filmom pozornie kiepskim i bezwartościowym, w którym postaram się udowodnić, że „złe kino”, wbrew obiegowej opinii, ma wiele do zaoferowania.



Marta Klon

Na początek skupię uwagę na obrazie, z którym zetknęłam się 16 maja 2011 roku w jednym z katowickich kin, podczas „Festiwalu Filmów Kultowych”. Cykl „Najgorsze filmy świata” natychmiast przykuł moją uwagę, a szczególne zainteresowanie wzbudził tytuł „Ludzie krety”. Z prelekcji przed seansem dowiedziałam się, że dzieło to zaliczane jest do czołówki najgorszych filmów wszech czasów i produkcja ta przyniosła wstyd i niestawę wytwórni Universal, będącej jedną z najstarszych i największych wytwórni filmowych w USA. Napięcie i zainteresowanie rosło z każdą chwilą, aż na sali zgasło światło i zaprezentowano nam film, który raz po raz wprawiał widzów w ostupienie, przeradzając się w salwy niepochowanego śmiechu. Tu pozwolę sobie na małą dygresję. Oglądając filmy samotnie można znacznie bardziej skupić się na ich przekazie i dać się porwać historii, jednak w tym przypadku polecam seanse grupowe. Wspólne przeżywanie tego typu emocji zacieśnia więzi i pozwala bez umyślowych kontuzji dotrzeć do końca seansu. Tak było również w tym przypadku. Gdy czułam, że z tego starcia prędzej wrócę na tarczy niż z tarczą, ktoś na sali dawał upust kłębiącym się emocjom, głośno komentując kolejny znakomity dialog i całe napięcie opadało, pozwalając dalej cieszyć się tym niezwykłym dziełem. A było czym. Obraz ten jest niewątpliwie kwintesencją kiczu i absurdu. Historia nie wydaje się być zbyt skomplikowana. Otóż grupa archeologów, której przewodzi Dr Roger Bentley (w tej roli John Agar, aktor, który zbudował swoją karierę na dziełach tego typu) w wyniku splotu nieprzewidzianych i równocześnie wyjątkowo dziwnych wydarzeń odkrywa, iż pod ziemią żyje starożytna rasa ludzi-albinosów, mająca za niewolników przerażających ludzi-kretów, będących wielkimi miłośnikami grzybów. Napisanie czegokolwiek więcej na temat fabuły byłoby wręcz zbrodnią, gdyż odbierałoby potencjalnemu odbiorcy przyjemność z odkrywania kolejnych smaczków, skupię się więc na poruszanych w filmie problemach.

Twórcy, świadomie bądź nie, podnieśli w swoim obrazie wiele ważnych kwestii. Pojawia się tu rasizm, niewolnictwo, strach przed nieznanym, ciemnota czy podziat nad nadludzi i podludzi. Niełatwo stwierdzić czy był to efekt zamierzony, czy może zwyczajny wypadek przy pracy, zwłaszcza że realizacja filmu pozostawia wiele do życzenia.

Na pierwszy plan wysuwa się dziurawy, pełen niekonsekwencji scenariusz, wypełniony po brzegi dialogami typu: „Mówi naszym językiem!”,

„Uczyliśmy się waszego języka z kamiennych tablic”. Większość słyszanych zdań to maleńkie peretki, wypowiedziane w sposób tak pretensjonalny, jakby aktorzy brali lekcję aktorstwa u samego Pinokia. Na szacunek zasługują również „wyśmienite” (wykonane przy pomocy dużej ilości kartonów, płótna i farby), scenografie. Orientowanie się w przestrzeni jest tutaj praktycznie niemożliwe. To, co w teorii powinno znajdować się z dala od aktorów, zdaje się być umiejscowione tuż obok nich. Trudno określić co jest blisko, a co daleko, wywołuje to spory zamęt, stwarzając równocześnie wrażenie wszechobecnej tandety. Nie to jest jednakże największą zaletą omawianego filmu. Prawdziwym clou programu, niezwykle smaczną wisienką na torcie są tytułowi „ludzie krety”. Charakterystyka owych stworów to prawdziwe arcydzieło. Ogromne, gumowe ręce, zakończone długimi pazurami robią wrażenie, ale są niczym w porównaniu do szkaradnych, w niczym nie przypominających kretów... pysków? Całość dopełniają przyciasne garnitury (przypominam, że mówimy o ludziach-KRETACHI!), wypełnione na plecach gazetami, udającymi garby. Zdaję sobie sprawę, że ten skąpy opis nie oddaje nawet w niewielkim stopniu niezwykłości owej charakterystyki, tym bardziej więc zachęcam do zapoznania się z opisywanym filmem. Podsumowując: sporo tu dialogów-koszmarków, scenografia wygląda jak stworzona przez uczniów podstawówki na szkolne przedstawienie, scenariusz pełen jest luk i błędów logicznych, a tytułowi ludzie krety są przykładem na to jak NIE powinna wyglądać charakterystyka. Polecam bez chwili wahania. To po prostu trzeba zobaczyć!

## Supergirl

Nie będę ukrywać – nie jestem zbyt wielką fanką Supermana. Od zawsze był dla mnie facetem noszącym majtki na rajstopach i niewiele się w tej kwestii zmieniło. Każda próba pogodzenia się z tą postacią skazana była na porażkę, a „Człowiek ze stali”, najnowszy film o tej ikonie amerykańskiej kultury, okazał się być kroplą, która przelała czarę goryczy. Obiecałam sobie, że już nigdy, przenigdy nie zaryzykuję seansu z super mężczyzną. Niewątpliwie obietnicy dotrzymałam. W końcu tym razem mamy do czynienia z super kobietą. Od razu warto zaznaczyć, że na młodzieńką, wtedy dwudziestojednoletnią, Helen Slater patrzy się wyjątkowo



przyjemnie i widoku bielizny na rajstopach obawiać się nie należy. I jest to jedna z niewielu rzeczy, które, nie będąc wielbicielem tandety, można pochwalić.

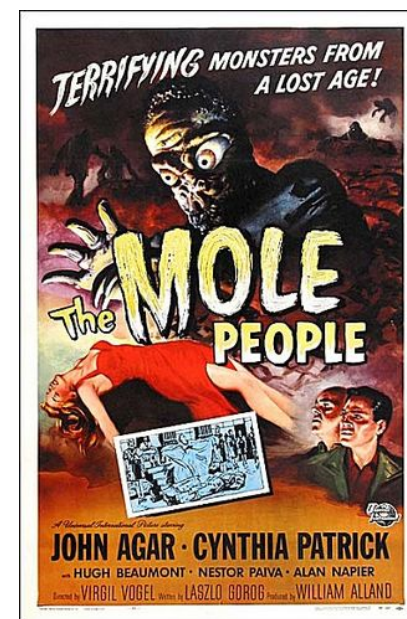
Należałoby zacząć opisywać film od scenariusza, ale tym razem pozostawię sobie tę przyjemność na koniec, gdyż jest on niewątpliwie „najmocniejszą” stroną „Supergirl”. Jeśli chodzi o wizualną stronę dzieła, jest raczej przeciętnie. Krypton wygląda dość plastikowo i tandetnie, charakteryzacja bohaterów również nie powala (porozciągane swetry Petera O’Toole’a pozostają dla mnie tajemnicą), a efekty specjalnie nie powodują opadu szczęki, natomiast widziałam już znacznie gorsze rzeczy. Da się to jakoś przetknąć i oglądać bez bólu, chociaż kilka żenujących rozwiązań niewątpliwie można by wymienić (odkrycie ich pozostawiam widzom). Nieporównywanie gorszy, co mimo wszystko było dla mnie zaskoczeniem, jest tutaj poziom aktorski. Helen Slater jest całkiem ładna i urocza, ale równocześnie potwornie sztywna, a i tak wydaje się wyglądać najlepiej na tle reszty obsady (może to zasługa urody i kusego stroju). Faye Dunaway, aktorka mająca na koncie między innymi Oscara, chyba nigdy wcześniej i nigdy później nie zagrała tak infantylnej, koszarnej wręcz roli, a Peter O’Toole zdaje się być parodią samego siebie. Warto zobaczyć jak cenieni aktorzy padają ofiarą fatalnego scenariusza i, prawdopodobnie niezamierzenie, odgrywają na ekranie istny kabaret.

Skoro o scenariuszu mowa – David Odell stworzył coś naprawdę wyjątkowego. Już sam początek historii woła o pomstę do nieba, gdyż jest tak skrajnie niejasny, że obejrzałam go kilka razy, próbując odnaleźć w nim chociaż krztę sensu, aż ostatecznie wywiesiłam białą flagę. Do tej pory nie rozumiem co kierowało bohaterami i „gdzie tu sens, gdzie logika?”. Powiedzieć mogę jedynie, że źródło mocy Kryptonu, w niebywale absurdalnych okolicznościach, trafiło na Ziemię, a Kara-El, kuzynka Supermana, postanawia je odzyskać. Potężny artefakt trafia w ręce żadnej władzy czarownicy, która postanawia wykorzystać go do swoich niecznych celów (jeszcze bardziej niezrozumiałych niż początek tego dzieła). Nonsens goni nonsens, zapędy postaci są niczym nieuzasadnione, a w dodatku pierwsza połowa filmu jest potwornie... nudna. Czy więc warto się męczyć? Sądzę, że tak.

Mniej więcej od 50 minuty „Supergirl” wyraźnie nabiera rozpędu. Mamy

choćby znakomitą scenę, w której główna bohaterka walczy z ożywioną koparką! Tak, z koparką! Przeciwnika tego pokroju nie było nawet w „Power Rangers”(choć Dyni Rapera nic nie przebiję). Gdzie indziej można zobaczyć coś takiego? Jest również śladki, że aż zęby boją, a do tego do granic bzdurny, wątek romantyczny. Właśnie on sprawił, że zdecydowałam się jednak napisać o tym obrazie. Żaden romans, żadna komedia romantyczna, nie zapewni takich wrażeń i emocji, jakich doświadcza widz, obserwując poczynania Kary i jej ukochanego. Nie zaryzykuję nawet dokładniejszego opisywania wspomnianego wątku, gdyż mogłaby wyjść na jaw moja niekompetencja i nieumiejętność doboru słów, mogących chociażby w niewielkim stopniu oddać to, co działo się na ekranie. Nie dość, że miłość od pierwszego wejrzenia, to jeszcze jak głęboka! Absolutny majstersztyk.

Zdaję sobie sprawę z tego, że mój tekst przepiętny jest ironią i, mam nadzieję, humorem, ale nie potrafię i nie chcę pisać inaczej o kinie tego pokroju. Od lat trzymam się zasady, że im gorzej, tym lepiej i staram się kierować się nią także tutaj. Do filmów tego typu trudno podchodzić poważnie, znacznie lepiej jest cieszyć się tym, co w nich nieudane, chwalić każdą usterkę czy niedociągnięcie. Patrząc na nie z dystansem, można naprawdę je pokochać i docenić. Tego życzę wszystkim tym, którzy zaryzykują i dadzą się porwać takim właśnie obrazom.





chińskie bajki

cykl o anime



# PLATZ



Wyciągam wygodnie nogi na parapecie, siedząc przed komputerem z którego dobiegają specyficzne, nieco piskliwe, japońskie głosiki. Na parapecie, na którym znajduje się samo złoto. Co na nim jest? Mangi. Stos kilku serii, czarno-białych komiksów, na pierwszy rzut oka niezrozumiałych, bo czytanych inaczej od przyjętej w naszych stronach normy, czyli od prawej do lewej. Trzymając tom, zaczynamy go jakby od końca. Z kolei na stosie mang, znajduje się najbardziej dziewczęcy i uroczy pluszak. Ową maskotką jest chłopak z maską-czaszką na twarzy, w japonkach, o żółtych źrenicach i poczerwiałych białkach. Szczerzy się histerycznie, trzymając wsparty na barkach miecz o wyglądzie ogromnego noża. Jest to postać z anime, będąca shinigami, japońskim bożkiem śmierci. Właściwie jest trochę straszny. Nawet bardzo. Specyficzny obrazek dopełniają plakaty, przedstawiające bohatera z dzieciństwa – ninja w rzucającym się w oczy, pomarańczowym dresie i w niebieskich sandałach. Do tego z blond czupryna, która wygląda jak rażona prądem. Naruto.

Cześć, w tym roku kończę dwadzieścia lat, i tak, wciąż oglądam chińskie bajki. Które właściwie są japońskie i wcale nie są bajkami. Chociaż właściwie to nieważne, jak zwat, tak zwat. Ważny jest natomiast stereotyp, łaska, jaka przyłgnęła zarówno do tych bajek, jak i do osób nimi zainteresowanych. Stereotyp, a właściwie stereotypy, częstokroć wykluczające się wzajemnie – anime to bajki dla małych dzieci, zboczone bajki dla dorosłych, głupie bajki, bezsensowne, pełne przemocy zabijanki, a same postaci, notabene niegrzeszące rozumem a jedynie brutalną siłą, mają zawsze dziwne fryzury i oczy wielkości planet. Natomiast widzowie to – darujmy sobie cenzurę – mangozjebcy, gorszy gatunek człowieka. Tak, jak sugeruje wysyp fanpage'ów na facebooku typu: Mangozjebcy to podludzie. Niektóre

mają charakter autoironiczny, inne zaś są traktowane jak najbardziej poważnie, ot, atak, bo ktoś lubi coś zgoła odmiennego.

A jak to wygląda, gdy przyjrzymy się uważniej? Owszem, anime są bajkami dla małych dzieci, zboczonymi bajkami dla dorosłych, bajkami najwyczałniej głupimi czy bezsensownymi, pełnymi przemocy zabijankami, których bohaterowie są bezmózgimi siłaczami o dzikich fryzurach i oczach wielkości planet. Ale! Anime to też historie, które potrafią rozbawić lepiej niż niejedna komedia, historie potrafiące wywołać tży wzruszenia, dreszcz emocji. Historie uczące o szerokim gronie odbiorców – nie ma tu ograniczeń wiekowych czy też dotyczących zainteresowań lub płci. Bowiem wybór kategorii w anime jest tak szeroki, jak wśród filmów. Historia, sport, horror, okruchy życia, romans, thriller, erotyka, fantasy, z odpowiednim podziałem wiekowym, zróżnicowaniem tzw. kreski – czyli między innymi doboru fryzur i rozmiaru oczu – a to wszystko przy mniej lub bardziej wyrafinowanej grafice, muzyce i grze aktorskiej. Tak, grze. Bo żeby podkładać głos czasem nawet kilkudziesięciu postaciom, a każdej z nich nadać indywidualny charakter oraz siłę przekonywania, aby widz wczuł się w sytuację pomimo dwuwymiarowości świata, trzeba jednak mieć umiejętności aktorskie. Dotarło to do mnie w momencie, gdy odkryłam, że głos najbardziej rozpoznawalnego, animowanego ninja, głos dziarski, mocny, typowo chłopięcy, lekko arogancki, strasznie nacechowany emocjami, tak naprawdę należy do drobnej i uroczej kobietki, która nawet nie najgorzej śpiewa i to już w zupełnie innych, kobiecych tonach. A z czasem się w tym utwierdziłam, kiedy to zorientowałam się, że jakby przepity głos czarnego charakteru, będącego pięćdziesięcioletnim mężczyzną, również należy do kobiety... Cóż, kłaniam się, po prostu.



Kamila Latąta



Jak zatem szerokie jest pojęcie anime? Jako osoba niekonsekwentna w wyborach wiem dobrze jak bardzo szerokie, bo sama oglądam te idiotyczne, najbardziej absurdalne, ogtupiające wręcz, aby od czasu do czasu obejrzeć coś ambitniejszego, częstokroć ściskającego za serce. A zatem, po wprowadzeniu, pójdźmy za ciosem wraz z moją niekonsekwencją.

## Arakawa Under The Bridge

Dwa sezony, każdy po trzynaście odcinków, czystego absurdu. Historia zaczyna się niepozornie. Na dzień dobry widzimy młodego, czarnowłosego, dobrze ubranego mężczyznę o imieniu Kou, wyjaśniającego nam, iż jest założycielem i prezesem pewnej wybitnej korporacji, której największym wrogiem na rynku jest korporacja ojca naszej postaci. Tata Kou wychowywał go tak, aby ten liczył tylko na siebie, był samowystarczalny, bo najdrobniejsza, naprawdę najdrobniejsza przystuga czy życzliwość ze strony drugiego człowieka jest wynalazkiem szatana i przynosi ze sobą tylko nieszczęścia. Po chwili wyjaśnień okazuje się, że nasz czarnowłose przyjaciel stracił spodnie, gdyż grupa dzieciaków ukradła mu dolną część garderoby, żeby powiesić ją na szczycie mostu. Gdy wspina się, by je odzyskać, blondynka łowiąca ryby, proponuje mu pomoc, ale on zgodnie z tym co wyniósł z domu, odmawia i wpada do rzeki wraz z rusztowaniem, po którym się wspinał. Wyławia go wspomniana wcześniej blondynka, której imię brzmi Nino. Przerażony zaciągniętym długiem brunet oferuje Nino pieniądze, willę, stawę, posiadłość, dziewczyna nie chce niczego – ot, bezinteresowność. Mężczyzna naciska dalej, chcąc jak najszybciej mieć czyste konto. Wymusił więc jakąś prośbę. A jaką? Cóż, stanęło na tym, że zamieszkał z Wenusjanką – którą Nino, jak sama twierdzi, jest – pod mostem. Tak, pod mostem. Co więcej, pod felerną budowlą mieszka społeczność – mamy zarządcę, czyli faceta w stroju kappy, który usilnie wmawia wszystkim, że jest najprawdziwszą kappą. Notabene, gwoli ścisłości, kappa to przypominający wyglądem żółwia demon z japońskiej mitologii. Dalej mamy Gwiazdę, rock'n'rollowca, który mieszka w przyczepie przy rzece, a jego imię wzięło się stąd, że paradytuje wiecznie w masce o kształcie Gwiazdy. Nasza dziwna społeczność ma nawet pod mostem kościół, którego głową jest Siostra,

ale jaka! Były żołnierz w stroju zakonniczy, który prowadzi mszę z karabinem w tle. Siostra, Nino Wenusjanka, Gwiazda i Pan Zarządca to tylko czubek góry lodowej, jeżeli chodzi o gamę absurdalnych postaci. A wątek tej historii? Ich codzienne perypetie, bardziej lub mniej absurdalne, a im dłużej to kuriozum trwa, tym nasz biznesmen ma mniej rozsądku.



## Ningen Shikkaku

„Aoi Bungaku Series”. Błękitna literatura. Anime jest adaptacją sześciu słynnych klasyków japońskiej literatury, ja jednak wspomnę o jednej historii, zatytułowanej Ningen Shikkaku, Koniec Człowieczeństwa. To tragiczna historia człowieka, który nie potrafi sobie radzić w społeczeństwie. Pragnie żyć jak każdy zwyczajny człowiek, jednak szansa na to nieustannie przed nim ucieka. Youzou Oba, bo tak mu właśnie na imię, z początku jawi się nam jako wyrachowany manipulant, jednak maska jaką przybrał, szybko pryska. Zostaje nieszczęśliwy, zagubiony człowiek ze zwichrowaną osobowością, nieakceptowany przez

ojca artysta z bogatej rodziny, nazwany za młodu przez rówieśnika obake, czyli potworem, widział w sobie tego potwora. Pomimo tego, iż inni ludzie, a szczególnie kobiety, widzieli w nim młodego, przystojnego i urokliwego mężczyznę. Pominąwszy wstęp, właściwa akcja zaczyna się, gdy chłopak jest ścigany, a schronienia szuka w barze z pannami do towarzystwa. Jedna z nich, piękna i dojrzała kobieta, widząc co się dzieje, skrywa go pod połami swej sukni. Gdy śledzący znika, opuszczają bar razem, napotykając jednak ponownie oprawcę. Kobieta każe uciekać naszemu bohaterowi, oślaniając go własnym ciałem. I ten ucieka, aby po chwili wrócić do swej pobitej towarzyszkii. Łądują w domu kobiety, uprawiają miłość, a po zbliżeniu toczy się między nimi rozmowa, dzięki której dowiadujemy się, że piękność ma męża, zbiegłego skazańca, poszukiwanego od lat. Oboje samotni, bez celu w życiu, decydują się na podwójne samobójstwo. Na szczycie klifu przedawkowują środki nasenne. Kobieta mówi, że jeśli będzie żyła drugi raz, chciałaby żyć bardziej ludzko, po czym prosi Youzou o zepchnięcie jej z klifu. Ten, zamroczony lekami robi to, po czym traci przytomność. Budzi się w szpitalu, gdzie jest męczony przez śledczych i dziennikarzy, próbujących dociec czy to aby na pewno nieudane podwójne samobójstwo, czy może jednak przemyślane morderstwo. Znowu stał się obake, tym razem w oczach całego społeczeństwa. Z otchłani własnych demonów wyciąga go wdowa, matka małej dziewczynki, dla której staje się ojcem. Wizerunek potwora został zamknięty w lustrzanym odbiciu, z którego mimo usilnych prób, nie może się wydostać. Dziewczynka, nazywająca go swoim tatusiem, jest dla niego boginią, powodem do życia, o czym głośno mówi. Żyje jak człowiek, nie, stał się człowiekiem. Czar pryska, gdy któregoś dnia mała pyta, czy może dostać swojego tatusia, prawdziwego, z powrotem, że nie chce potwora, mordercy, bo tak o aktualnym tatusiu mówią w mieście. Nasz bohater ucieka, by powrócić w stanie upojenia i zaczyna tak wracać każdego dnia. Gdy któregoś zimowego dnia, pijany opada na śnieg, zatrzymuje się przy nim młoda, zatroskana o jego los kobieta, sklepikarka, u której zawsze przystawał po papierosy. Opowiada dziewczynie swoją historię.

*– Całe społeczeństwo mówi, że jestem potworem - podsumowuje.*

*– Społeczeństwo? Czyż społeczeństwo nie jest jedynie grupą pojedynczych osób? A obok ciebie stoi osoba, która im nie wierzy.*

*Słowa te, wypowiedziane w odpowiedzi, dały młodemu mężczyźnie nadzieję. A że*

*w międzyczasie wdał się w romans, po spotkaniu młódki, na kolejnej schadzce, zadaje swej towarzyszkce pytanie, dlaczego kobiety zawsze są dlań tak przychyłne.*

*– Ponieważ świat nie jest przychylny dla kobiet - pada odpowiedź.*

Słowa te powodują, że poważnie zainteresował się młoda sprzedawczynią i kolejny raz próbuje żyć jak człowiek, biorąc ją sobie za żonę. Swojego demona wykorzystuje, aby utrzymać siebie i żonę – społeczeństwo łase na wszelakie informacje o mordercy chętnie skupuje tworzoną przez Youzou ilustrowaną, pseudoautobiograficzną opowieść, pełną celowej, podjudzającej czytelników groteski, makabreski i pikantnych szczegółów. Nietaskawy los znowuż powraca – mężczyzna przytępuje żonę podczas uprawiania seksu ze swoim szefem... I bierze to za własną winę, zakłada, że jego prace są niewystarczające, więc jego żona musi wykupywać ich wydawanie swym ciałem. Wydarzenia te owocują kolejną nieudaną próbą samobójczą. Youzou zostaje zabrany przez rodzinę, oczerniany o powodowanie samych problemów i zamknięty w malutkim pokoju, z którego nie ma prawa wychodzić, a do którego dostarczają mu gazety, posiłki czy artykuły plastyczne. Potwór wraca, wydostaje się z lustra, a bohater widzi go już wszędzie – w szafie, oknie, lampionie. W kółko rysuje wizerunek potwora, krzycząc, że to jego prawdziwe oblicze. Pewnej nocy wymyka się i trafia do sklepu, tego samego, w którym za pierwszym, nieudanym samobójstwem zakupił leki nasenne. Historia kończy się obrazem nie tego znanego nam, przystojnego, młodego chłopaka, lecz młodzińca wysuszonego, z niekompletnym uzębieniem, o zamglonych oczach i całkiem posiwiałych włosach, siedzącego naprzeciw obake, swojej prawdziwej postaci. Tym razem nie widać z jego strony paniki, żegna nas Youzou ze spokojem na twarzy, delikatnym uśmiechem i słowami:

*– Cześć. Więc cały czas byłeś tutaj? Od teraz już zawsze będziemy razem.*

## Death Parade

„Everybody put your hands up” – pozytywny tekst, śpiewany melodyjnym głosem przy skocznej muzyce, rozbrzmiewa w najmniej odpowiednim momencie. Cóż, popisałam się. Ćwiczenia, skleroza, a co z nią związane, niewyciszony telefon. Trio idealne. Na szczęście prowadzący zajęcia to wyluzowana i sympatyczna osoba, a moje faux pas kwituje rzuceniem

krótkiego hasła: „Chciałbym mieć taki podkład do życia”. Życie. Podkład. Brawo dla niego, trafił pięknie, choć nieświadomie. Ponieważ mój radosny dzwonek w telefonie jest nie byle jaki. To odpowiednio sformatowany opening – czyli trwająca półtorej minuty animacja wprowadzająca do anime, a jej podkładem muzycznym jest utwór „Flyers” zespołu BRADIO. Mówiąc „po polskiemu” – czotówka. Ów opening, z wręcz na swój sposób biesiadną muzyką, rozweselającym tekstem, a w samej animacji pokazującym nam tańczących, uśmiechniętych głównych bohaterów jest swego rodzaju żartem. Bo podczas gdy czotówka zapowiadająca nam lekką rozrywkę przeminie, widzimy napis przedstawiający tytuł anime – „Death Parade”. Parada Śmierci. Witam w klimatycznej historii o sędzie ludzkiego żywota. Witam w QuinDecim.

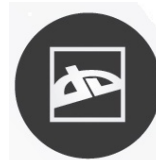
Nastrojowa, choć może nieco posępna muzyka, piękna oprawa graficzna, zadbana w najmniejszym detalu, przy stonowanej kolorystyce. To dodatkowo tworzy klimat baru o wystroju nawiązującym do lat dziewięćdziesiątych. Tym właśnie jest QuinDecim. Goście baru nie pamiętają kim są, nie wiedzą, gdzie się znajdują, ani jak w to miejsce trafili. Barman – białowłosa, elegancki mężczyzna, milczący, o twarzy i głosie niewyrażających żadnych emocji, a których mógłby pozazdrościć niejeden pokerzysta, bynajmniej nie pomaga zdezorientowanej klienteli. Decim, bo tak nazywa się pracownik lokalu, a zarazem główny bohater, zamiast – jak na barmana przystało – zaproponować gościom drinka, czy też spróbować ich uspokoić, ogarnianych coraz większą paniką, zmusza ich szantażem do przystąpienia do gry. Na czym polega szantaż białowłosego? Nie będą mogli opuścić miejsca, dopóki nie stoczą przeciwko sobie pojedynku. Pojedynku na śmierć i życie. Gdy klienci nie mogą znaleźć wyjścia, podstawieni pod ścianą postusznie wypełniają polecenia barmana. Gra jest losowa – automaty, kregle, twister. Ot, kwestia szczęścia, bądź nieszczęścia, na co trafisz. Prócz standardowych zasad należących do wybranej gry, Decim dorzuca od siebie jedną – należy grać tak, jakby od wyniku zależało życie grających. Na wszystkie pytania odpowiada: „Przepraszam, nie mogę nic więcej powiedzieć. Proszę grać tak, jakby od tego zależało państwa życie”. Frustracja, panika, niedokończone sprawy, przywiązanie do życia, to wszystko szarga nerwami, niejednokrotnie powodując oszustwa, rękoczynny, a nawet próby

morderstwa. Dodatkowo rodzący się w sercach chaos podjudza stopniowe wracanie wspomnień. Wspomnień różnych – szczęśliwych, bolesnych, rozczarowujących. Ot, życie. Po co to? Na co to? Dlaczego to? Cóż, milczący Decim nie jest psychopatycznym mordercą, zarządzającym sobie swego rodzaju igrzyska śmierci, a potem upychającym zwłoki w wytwornym barze. Jest arbitrem, decydującym gdzie trafi dana dusza po śmierci, a gra toczona przez jego klientów jest formą sądu ostatecznego, mającego wywabić wszystkie mroki ludzkich dusz na światło dzienne.

Osądy Decima są surowe, częstokroć wzbudzające kontrowersję zarówno widza jak i jego ludzkiej asystentki, z którą widzowie mogą się utożsamić. Ona – zwykły człowiek, dokonuje tak samo zwykłego osądu, ludzkiego osądu. On – zimny, wyrachowany, w swych osądach jest niezwykle obiektywny, ponieważ nie posiada ludzkich emocji, którymi jednak kieruje się jego tajemnicza asystentka. Widz również jest postawiony w roli arbitra, który być może nie ma prawa głosu, ale prywatnie może dokonać refleksji i własnego osądu.

„Death Parade” jest serią krótką, bo zaledwie dwunastoodcinkową, będącą kameleonem – świetnie lawiruje pomiędzy dramatem a komedią, nie popadając przy tym w tandetę wyciskacza łez czy telenoweli. Nie nazwałabym serii przyjemną, ale na pewno wartą obejrzenia, dlatego wraz z Decimem zapraszam do QuinDecim. Bilard, kregle czy karty – na jaką grę trafisz? Niezależnie od tego, co przyniesie los, pamiętaj tylko, że stawką jest twoje życie! Paradę śmierci czas zacząć, świetnej jakości kolorowe drinki gratis.

Tekst oraz ilustrację do strony tytułowej chińskich bajek stworzyła Kamila Latąta. Więcej jej prac znajdziecie na:



[grauwespe.deviantart.com](https://www.deviantart.com/grauwespe)



[facebook.com/zazusiowe](https://www.facebook.com/zazusiowe)



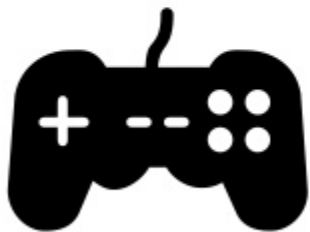


PLATZ

gra

Life Is Strange

Crusader Kings II



## Life Is Strange

Ostrzegam, to będzie typowy panegiryk, więc jeśli masz alergię na nadmierne pochwały, wiesz, co robić. Wystawiam (z pełną świadomością) laurkę grze, która jest jeszcze niedokończona – twórcy wypuszczają ją w epizodach, w maju wydany został trzeci (na pięć planowanych). Do tego skrótowy opis fabuły na pewno Cię nie zachęci, a grafika, którą zobaczysz na screenach czy video, nie zachwyci. Mimo to: „Life Is Strange” jest najlepszą grą video na świecie.

Małe miasteczko Arcadia Bay w stanie Oregon. To tu znajduje się Blackwell Academy, na której studia rozpoczyna Max Caulfield. Dziewczyna wraca do swojego rodzinnego miasta po pięciu latach i spotyka przyjaciółkę z lat młodości, Chloe, która nie jest tą samą grzeczną dziewczyną, co kiedyś. Razem chcą rozwiązać zagadkę zaginięcia Rachel Amber, bliskiej znajomej Chloe. I rozpoczynają tym samym tak wielowątkową przygodę, że jej streszczenie jest chyba niemożliwe. Mamy tu do czynienia i ze zwykłym licealnym życiem (kujony kontra piękni i bogaci, hipsterzy kontra futboliści i cheerleaderki), i z problemami w rodzinnym domu (dysfunkcyjna rodzina przyjaciółki Max), i z mocno podejrzanym klubem studenckim, który znęca się psychicznie nad jedną z uczennic, i z prawdziwymi kryminalistami, którzy grożą głównej bohaterce (a ta ma ledwo 18 lat) śmiercią. Dodajmy do tego niebywały zmysł fotograficzny Max, umiejętność cofania się w czasie, apokaliptyczne wizje i dużą dawkę pięknych lokacji, a otrzymujemy świetny pomysł na amerykański serial dla nastolatków. Ale nie na grę! Też tak myślałem, do czasu.

Fabula wciąga, bo dosłownie czujemy się, jakbyśmy

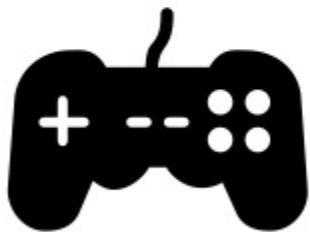
oglądali prosty, przyjemny i nawet ambitny serial, tyle że, jako gracze, mamy wpływ na jego akcję. A problemów, z którymi przychodzi nam się zmierzyć, jest wiele – od prozaicznych (jak podlanie kwiatka, pomoc koledze w eksperymencie chemicznym, czy podpisanie petycji), przez ważniejsze, lecz nie mające wielkiego wpływu na główny wątek (jak zgoda na randkę z największym szkolnym kujonem, czy naśmiewanie się z uczelnianej „drama queen”), po bardzo trudne i zmieniające w akcji gry właściwie wszystko (tu może spoilerować nie będę). Musimy pamiętać, że każda decyzja ma wpływ na rozwój wydarzeń. W „Life Is Strange” warto rozglądać się po lokacjach, ponieważ każde miejsce skrywa kilkanaście wskazówek, smaczków czy tak zwanych „inside stories”, których odkrywanie daje niesamowitą frajdę. Fani „Twin Peaks” podskoczą, gdy znajdą na jednym z luster napis „Fire walk with me”, spostrzegawczy „Whomaniacy” na pewno zauważą kilka odwołań do ich ulubionej postaci, a natógowo oglądający seriale i filmy będą obserwować każdą samochodową tablicę rejestracyjną (sprawdźcie dlaczego). Wsiąkanie w świat Arcadia Bay następuje momentalnie, i miasta po dwóch godzinach gry (około tyle potrzeba, aby rozegrać jeden epizod) naprawdę nie chce się opuszczać.

Szczególnie, że to, jak zostały owe lokacje namalowane (serio, wszystkie tekstury zostały stworzone ręcznie przez genialnych grafików), zastępuje na owacje na stojąco. Nie jest to realistyczne odwzorowanie świata, jak w najnowszym „GTA V” czy „Wiedźminie”, ale impresjonistyczny klimat, oddanie piękna stanu Oregon oraz „instagramowa” zabawa filtrami i światłem sprawia, że można spędzić kilka godzin na samym zachwycając się niektórymi krajobrazami (latarnia morska na klifie czy kilkuminutowe filmowe końcówki



Kuba Jeziorek

# PLATZ



dokończenie ze strony poprzedniej każdego z odcinków). Do tego wspaniale dopasowana indie-folkowa i rockowa muzyka (zakończenie pierwszego odcinka piosenką „Obstacles” Syda Mattersa, czy rozpoczęcie drugiego kawałkiem „Something Good” Alt-J – majstersztyk) oraz magiczny, oryginalny soundtrack dają temu tytułowi jeszcze większą moc.

A tak szczerze – polecam tę grę z powodu finału trzeciego odcinka. Bo zaskakuje, wręcz rozwala na łopatki, dekonstruuje całą historię, sprawia, że oczekiwanie na kolejny epizod boli dwa razy mocniej i wreszcie – wrzusza. Nawet tych, co to się przechwalają, że nigdy nie ronią łez. Spróbujcie „Life Is Strange”.



Kuba Jeziorek  
Michał Kasprzyk

## Crusader Kings II

Fakt pierwszy. Każda władza deprawuje, a władza absolutna deprawuje absolutnie. Fakt drugi. Przedstawienie sieci współzależności dynastii arystokratycznych w średniowieczu to interesujący pomysł na grę. Fakt trzeci. Kompleksowe oddanie realiów tej właśnie warstwy społecznej w Crusader Kings II sprawiło, że zostałem zawodowym dworzaninem i mordercą.

Rozpoczynając rozgrywkę datem upust moim, do tej pory dobrze skrywanym, patriotycznym uczuciom. Wcieliłem się w postać Bolesława Śmiałego, którego pragnąłem uchronić od rychłego wygnania, a w końcu również śmierci. Wizja racjonalnego poprowadzenia dynastii Piastów aż do roku 1453 została ostatecznie potwierdzona. Dlatego racjonalnie pozbyłem się swojego brata, Władysława, i zająłem jego ziemie. Koncentrat pomidorowy, który był do niedawna księciem Władysławem, spoczął na dnie przepaści. Woźnica, który uprzednio skierował powóz w odpowiednim kierunku, został nagrodzony, a w ówczesnym odpowiedniku Facebooka z pewnością zaktualizował swoje miejsce pracy o "Nie godzi się, by szlachectwo brukato swe ręce pospolitym uczynkiem". Jednak to był dopiero początek moich miłosiernych rządów.

Niedługo po tym przykrym wydarzeniu, jedna z osób biorących udział w intrydze miała czelność wystąpić przeciw z Bożej łaski królowi Polski, czyli mnie. Podczas karczemnej popijawy wyjawiała sekret, a zła sława przykryła czarnym całunem moje dobre imię. Jedynie uśmiercenie gagatka wydawało się



odpowiednim czynem. Przez następne dziesięć lat wzajemne próby zabójstw uprzyjemniały nam polowania, ucztę i rycerskie turnieje. Ostatecznie zatriumfowałem nad moim oponentem, z racji posiadania zasobniejszego skarbcza (i kilku asasynów), a następnie wybrałem się do papieża by oczyścić się z grzechów. Odpokutowałem za ciężko zarobione 1000 denarów i wróciłem by dalej rządzić krajem. Tak to już było w tym średniowieczu.

W następnych latach Królestwo Polskie zaczęło się rozrastać. Dobrobytu i rozwoju nie przyćmiły pojawiające się kolejno pomówienia na temat falsyfikowania prawa do ziemi czy zabójstw. Nieprzychylni stronnicy i możnowładcy tajemniczo znikali. Wszyscy w Królestwie byli oczywiście zaniepokojeni. Ale jednocześnie niepotrzebne ambicje i konflikty zaczęły znikać. Mijał czas. Piastowie zajmowali zwolnione wakaty książąt i hrabiów, a w przypadku niepokornych pociotków- biskupów. A mój najstarszy syn, który okazał się być imbecylem i jednocześnie miał dziedziczyć tron przed geniuszem? Cóż, pewne tajemnice pozostają w rodzinie.

W tym momencie jestem już szóstym królem Polski z dynastii Piastów. Jest rok 1321 i właśnie przygotowuję się do ostatecznego powiększenia prestiżu mojej dynastii. Tylko krok dzieli mnie od założenia korony cesarskiej. Tym krokiem będzie wojna, a butami deptającymi wszelką opozycję – moja dynastia. Od łagodnych wybrzeży Półwyspu Iberyjskiego, przez południową Francję, aż do Jerozolimy. Wszyscy Piastowie są gotowi by wspomóc swojego krewnego. Intronizowani mariażami jak również dzięki perswazji i szczęściu, tak to lubię nazywać, podczas dziedziczenia.

Gdy, zmęczony podbojami, kończę rozgrywkę, przeglądam jeszcze sennymi oczami drzewo genealogiczne rodu, widzę wyraźnie przycięte, przeze mnie i zawirowania historii, gałęzie. Nieudane eksperymenty eugeniczne skracają gdzieś daleko, by nagle zakończyć swą drogę na pojedynczym dziedzicu z płaskostopem i garbem, którego nikt nie pokochał. Nieprzychylni zdrajcy, z czaszkami przy swoich imionach, pustym spojrzeniem swoich portretów patrzą gdzieś przed siebie. Wydawałoby się, że wszyscy ci ludzie byli jedynie kodem gry, procentem ofiar moich rządów. W głowie zaczyna się kłębić myśl "Czy warto było? Czy bezlitosne dążenie do supremacji czegoś we mnie, nomen omen, nie zabiło?". Jednak wtedy mój wzrok pada na prestiż i wynik mojej dynastii. Widzę mój herb na szczycie. Najwyższa ilość punktów. Tak.

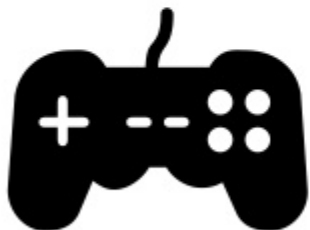


piksel



cykl o historii gier video





## Jak to człowiek okiełznał obraz i guzikiem wprawił go w ruch.

Pewna łacińska sentencja głosi : ab ovo usque ad mala. Oznacza to dosłownie tyle co „od jaj aż do jabłek”, czyli od początku do końca – jako, że w starożytności jajka jedzono najpierw, a jabłka na końcu. Ja zajmę się tym co było na początku, bo tego jak historia gier video się skończy, nawet Nostradamus nie przewidział. Łacina nadaje powagi każdemu zagadnieniu, a temat, którym pragnę się zająć, powagi wymaga.

Na początku był oscyloskop. Ośrodek badań nad energią atomową, Brookhaven National Laboratory, wyposażony był w supernowoczesne komputery, akceleratory cząsteczek elementarnych, reaktory atomowe i właśnie – oscyloskop. W tymże ośrodku pracował niejaki William A. Higinbotham, człowiek, którego dziś śmiało możemy nazwać praojcem gier video. To właśnie ten naukowiec, pewnej jesieni 1958 roku, na dniach otwartych BNL, przedstawił zwiedzającym grę „Tennis for Two”. Higinbotham postąpił się komputerem analogowym podłączonym do oscyloskopu, dwiema skrzynkami z gałką i przyciskiem oraz wizjonerskim geniuszem. W ten sposób, na potrzeby dni otwartych, pierwsza gra z „obrazem” ujrziała światło dzienne. Gameplay „Tennis for Two”, pozwalał dwóm graczom obrać władzę nad kątem odbitej piłki. Niesamowite.

„Tennis for Two” nigdy nie zostało opatentowane przez Williama A. Higinbothama, a sama jego postać na długo została zapomniana. Jego tworu nie można też nazwać grą video, jako że ekran oscyloskopu nie wyświetlał pikseli, czyli nie generował obrazu. Można go natomiast traktować jako dzieło przetomowe i inspirujące. Na wspomnianych dniach otwartych znalazło się wielu, dla których Tennis for Two było objawieniem, zwiastującym nową erę. Jednym z nich był Steven Russell.

Steven Russell, zwany Slug’iem, cztery lata po

doświadczeniu „grania w grę” jakiego doznał na dniach otwartych BNL, stworzył Spacewar. W czeluściach Massachusetts Institute of Technology, którego był studentem znajdował się komputer o skromnej nazwie Digital Equipment Corporation Programmed Data Processor-1 (DEC PDP-1). Na tejże kosmicznej maszynie Russell napisał równie kosmiczną grę. Napisał pierwszą GRĘ VIDEO w historii ludzkości (pisząc to, wzruszam się). „Spacewar” przeznaczony był dla dwóch grających – zasiadali oni za sterami statku kosmicznego, a następnie mieli za zadanie zestrzelić oponenta. Dodatkowo, na środku ekranu znajdowało się słońce, które swą potężną grawitacją przyciągało statki. Jeśli gracz wleciał w słońce, jego statek eksplodował na kilka pikseli! Obaj gracze mieli również do dyspozycji przycisk „nadprzestrzeni”, który sprawiał, że statek wskutek wejścia w „nadświatlną” zniknął i wkrótce pojawiał się w losowo wybranym miejscu w kosmosie (ekranie). Umożliwiało to ucieczkę od śmiertelnie gorącego słońca, bądź okrutnych pocisków przeciwnika. Dodatkowym smaczkiem było to, że jeden ze znajomych Russella, dodał do gry, wizualizację gwiazd, która była rozrzuconymi po ekranie pikselami o różnej przejrzystości. Tym sposobem „Spacewar” był jeszcze bardziej realistyczny. Kilka miesięcy później, Russell zaimplementował w swoje dzieło system naliczania punktów, co było następnym stumilowym krokiem w przyszłość gier video. Nie dość, że „Spacewar” umożliwiał rywalizację, to jeszcze zapisywał wyniki!

Tak właśnie człowiek okiełznał piksel i od roku 1962 piksel musiał mu służyć. Tak wyglądał skromny początek kreowania się nowej gałęzi kultury. Gry video miały więc swój początek w ośrodkach badawczych, uczelniach. Powstały pod wpływem chęci dostarczenia niezobowiązującej rozrywki. Warto też zaznaczyć, że pierwsze tytuły przeznaczone były dla dwóch osób, co dziś niekoniecznie jest standardem. Williama A. Higinbotham i Steven Russell rozpoczęli piękną historię.



Michał Harat



sztuka





# PLATZ



Piotr F. Piekutowski

Sram tą sztuką, czyli słów kilka o gównie Rembrandta czy jakiegoś innego artysty.

Czym jest sztuka? Kto decyduje, że coś nią jest, a coś nie? To chyba jedno z pytań, na które będzie miał trudno udzielić odpowiedzi zarówno artysta, historyk sztuki, jak i zwykły śmiertelnik. Na te i inne egzystencjalne problemy postaram się odpowiedzieć w swoich tekstach. A może nawet osiągnę coś więcej - skłonię cię do refleksji podczas... porannego wypróżniania się? Wszak niewykluczone, że i w twoim sedesie pływa śmierzący Kolos Rodyjski? Ale o tym troszkę dalej.

Spoteczność dziś dzieli się na dwie główne (a może jedynie najbardziej widoczne? marzenie ściętej głowy...) grupy ludzi. Pierwsza chwala sztukę współczesną, a wszystko co zostało stworzone przed modernizmem, postrzega jako „gorsze”. Druga grupa wręcz przeciwnie. Drwi z każdego dzieła, które powstało mniej więcej po klasycyzmie. Oczywiście obie grupy przypisują sobie nawzajem mniej lub bardziej nieżyczliwe epitety. Co tak naprawdę różni wyodrębnionych ludzi? To, że jedni idą na piwo do BWA a inni do Galerii Sztuki Dawnej. Odsetek Polaków chodzących do muzeów, teatrów czy innych miejsc związanych z kulturą nie jest imponujący. Co gorsza, często gdy już idą w takie miejsca, robią to: z przymusu, bo jest noc muzeów i nie trzeba płacić pięciu złotych za wstęp, by się pokazać, albo by coś lub kogoś strollować. Gdzie w tym wszystkim jest szuka i to, co z sobą niesie?

Postrzeganie dzieła sztuki zmieniało się przez wieki. Od funkcji czysto religijnej, przez estetyczną, po prymat idei nad materią. Pojawiały się nowe dziedziny, materiały. Do sztuki zaliczana została fotografia, performance, a nawet endoproteza.

Czy to jakiś błąd w ewolucji, że kilkaset lat po

stworzeniu „Mony Lisy” albo „Straży nocnej”, w galerii pojawia się wystawa dziewięćdziesięciu puszek wypełnionych kałem oryginalnie nazwanych: „Gówno artysty”? Ba, żeby tylko ślęczała w muzeum i nikt się nią nie interesował. Piero Manzoni, bo o jego „gównie” mowa, wystawił swoje dzieło na sprzedaż, żądając równowartości wagowej w złocie. I co, nikt się nie skusił? Nie. Dzieło rozchodziło się jak ciepłe... buteczki. Oburzenie? Zachwyty? Takich emocji właśnie oczekiwał. Jego praca nie jest taka bezsensowna, jak niektórzy mogą myśleć. Manzoni jawnie kpi z rynku, sztuki i kultury artysty. Również w swych innych dziełach polemizuje z panującym przeświadczeniem, że cokolwiek zostało choćby podpisane przez artystę, automatycznie staje się dziełem sztuki. Jednak „Gówno artysty”, pomimo swoich wątpliwych walorów estetycznych (wszak Piero Manzoni był konceptualistą) niesie z sobą ciekawy przekaz, który każdy pewnie inaczej odczyta.

Sztuka w każdej swojej dziedzinie podlega ewolucji. Wpływają na nią wydarzenia polityczne, religijne, obyczajowe. Tych czynników jest więcej. Nie możemy jednoznacznie porównać „Gówna” Manzoni do „Straży nocnej” Rembrandta. Jednak obydwaj artyści spełniają swoją rolę. Przesuwają granice, wywołują silne emocje i przekazują istotne treści. Różni ich jedynie sposób przedstawienia, ale to tak jakby porównywać dramaty Sofoklesa do twórczości Shakespeare albo, nie daj Boże, Mrożka.

Najważniejszym czynnikiem w nobiletacji do rangi sztuki jesteśmy my - odbiorcy dzieła. To nie kto inny jak ludzie wychwalający, ale i szydzący z Manzoni, uznali „Gówno artysty” za sztukę (moim zdaniem słusznie). Każdy z nas w pewnym stopniu kształtuje współczesną twórczość. Robimy to nieświadomie. Chodząc do muzeum (sztuki współczesnej czy też nie) i pijąc tam

# PLATZ



dokończenie ze strony poprzedniej  
tylko piwo czy kawę, swą biernością dokonujemy wyboru. Tak samo jak oglądając w telewizji „Trudne sprawy” (nawet dla żartu) i rozmawiając o nich sprawiamy, że tego typu programy pojawiają się niczym grzyby po deszczu. To protestujący katolicy, którzy we wszystkich mediach trąbią o bluźnierczym darciu Biblii na pewnym koncercie, tworzą ten czyn artystycznym. Nie uważając czegoś za sztukę, nie dawajmy pożywki „artystom”, i gdy zobaczymy kolejnego rolnika skaczącego do wody, zamiast biadolić nad upadkiem współczesnej kultury, po prostu wyłączmy telewizor. Nasza obojętność jest najskuteczniejszą bronią.

Cytując Apokalipsę św. Jana: „A tak, skoro jesteś letni i ani gorący, ani zimny, zamierzam cię wyrzygać ze swoich ust”. Tak ważne nie jest to, czy bliższy jest nam barok, czy może kubizm... Czy zaczytujemy się w Świetlickim czy Mickiewiczu... Najistotniejsze jest, jak coś wpływa na nas i jakie wywołuje emocje. To dzięki temu, że dzieło nie jest dla nas obojętne, staje się sztuką. Przecież najgorsze dla twórcy i jego działalności jest stwierdzenie klasyka: „A ja mam to w dupie”. Choć Manzoniemu może o to właśnie chodziło...

\*\*\*



Piotr F. Piekutowski  
Justyna Szymańska

## Art is beautiful, artist must be beautiful

Pierwsza była Orlan – wszczepiła sobie w brwi implanty, żeby przypominać Mona Lisę. Była też Marina Abramović, która pozwoliła odwiedzającym wystawę testować na sobie działanie różnych, prawie nigdy bezpiecznych, przedmiotów. W końcu Nina Arsenault, która po 60 operacjach plastycznych z męskiego ciała uczyniła ciało kobiece, po czym włożyła je w piękne ubrania i przyozdobiła makijażem, a wszystko to nazwała – dziełem sztuki. Zrobiła jednak także rzecz o wiele istotniejszą, a mianowicie wypełniła to wszystko treścią. Nina Arsenault jest bowiem dziełem sztuki mówiącym, samostanowiącym się artefaktem, nie pozostawiającym wątpliwości, których mogłyby być sporo. Jest chyba pierwszym w historii przypadkiem samoukonstytuowania się jako arcydzieło. Autokreacja leży u zarania sztuki Arsenault, jako że swój początek ma ona w podjęciu decyzji o zmianie płci, trudno bowiem wyobrazić sobie coś bardziej decydującego o samoustanowieniu niż dokonanie wyboru dotyczącego płci. Dzieje się tak głównie dlatego, że płeć zostaje narzucona, a przezwycięzenie czegoś tak, mogłoby się wydawać, fundamentalnego, wymaga ogromnej samoświadomości.

Nina jest też samostwarzającym się dziełem sztuki – choć oczywiście zostało ono zrobione rękami chirurgów – to Nina wypełniła je treścią, a uczucia towarzyszące twórcy – ekstaza i cierpienie – zostały tutaj pogłębione poprzez fizyczne ich odczuwanie. Materiałem jest wszak jej ciało, postrzegane jako zbiór „linii, mas, form i struktur”. Artystka próbuje łamać stereotyp związany z kobiecym ciałem, które jest dla niej archetypem piękna. Jest to jednak wizja wyidealizowana, oparta na komercyjnym wizerunku kobiety, a tym samym na



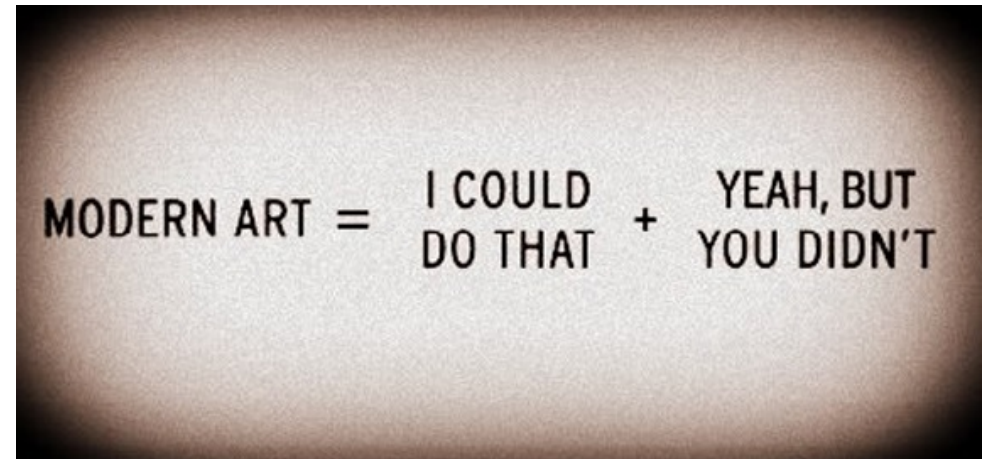
wizerunku sztucznym, odrealnionym. Ale w świecie Arsenault niewiele rzeczy jest realnych, cała jej twórczość oparta jest na grze (ze) sztucnością, wychodzi ona z założenia, że makijaż czy ubrania, czyli podstawy kobiecej autokreacji, mogą być kanwą dla twórczości artystycznej. Na tej podstawie Arsenault buduje wielowątkową narrację, osnutą wokół problemów dotyczących nas wszystkich, bardziej niż moglibyśmy się spodziewać.

Jak już wspomniałam, jednym z tych wątków jest autokreacja, nie tylko kobiet. To znów głęboki problem, gdyż żyjemy w czasach, w których brak autokreacji powoduje niemalże brak istnienia. Jednak to kobiecość wciąż jest głównym obiektem poddawany krytyce w tym aspekcie, gdyż to kobiety kreują się na co dzień w najbardziej oczywisty sposób. Ma to swoją bardzo ciemną stronę – kobiety są uprzedmiotawiane i – wciąż – pozbawiane możliwości samostanowienia. Nina Arsenault jest jaskrawym przykładem zarówno autokreacji jak i przeciwstawiania się uprzedmiotawianiu. Zatrzymam się na chwilę przy tym ostatnim, gdyż interesujący jest sposób, w jaki to robi. Otóż sama z siebie czyniąc materiałem dla sztuki, czyli w pewnym sensie uprzedmiotowiając swoje ciało, nie pozwala robić tego innym. To ona ustanawia granice swojego jestestwa osiagając tym szczyt apercpcji.

Wróć jeszcze na chwilę do problemu autokreacji. Ma ona dziś dwa aspekty – społeczny i fizyczny. Jeśli chodzi o ten pierwszy sprawa jest raczej oczywista – mało kto nie dba o to „co ludzie powiedzą”, a jeśli tak twierdzi to prawdopodobnie kłamie. I nie ma w tym nic złego, sami stworzyliśmy społeczeństwo, które stało się naszą dżunglą w której musimy przetrwać, a w której społeczna akceptacja jest jedną z najważniejszych wartości. Sama Arsenault za elementy swojej sztuki uznaje konta na Facebooku i Twitterze. W aspekcie fizycznym sprawy nie komplikują się bardzo, gdyż ilość osób dbających o wygląd ciała jest olbrzymia, o czym może świadczyć rosnąca liczba siłowni a także lekarzy i ośrodków, wykonujących operacje plastyczne. W tym kontekście dalej mi do Niny Arsenault, niż do kulturyisty, biorącego udział w pokazach. Artystka obudowuje problem pracy nad ciałem intelektualną otoczką i ustanawia go esencją swojej sztuki.

Kim więc jest Nina Arsenault? Jest bardziej zmodyfikowaną Lady Gagę, trochę bardziej atrakcyjną Anną Grodzką, trochę bardziej żywym dziełem sztuki. Jest uosobieniem tkwiącej w każdym z nas cząstki cyborga.

Wszystkie informacje na temat Niny Arsenault uzyskałam z jej strony internetowej, konta na portalu Facebook oraz przede wszystkim z jej przemówienia z 2010 r., dostępnego na platformie YouTube. Tytuł artykułu jest natomiast tytułem performance'u Mariny Abramović z 1975 r.



# PLATZ



Parę kroków wstecz, czyli krótki powrót do dzieciństwa.

W zeszłą niedzielę moja kuzynka miała komunię. Dostała nowy telefon, tableta ma już od dawna, podobnie jak jej młodszy, czteroletni brat. Radości z prezentu nie było końca, a i M. po ceremonii przepadła gdzieś na resztę dnia. Jak nie trudno się domyśleć – pochłonęła ją internetowa otchłań filmików z gier i bajek. Towarzyszył jej O. zawzięcie dążący do zwycięstwa w grze na tablecie.

Przypatrywałam im się dłuższą chwilę. Pamiętam, że na swój pierwszy komputer czekałam do 6 klasy podstawówki. Do tamtej pory zastępowała mi go gra telewizyjna i popularne wówczas jajko tamagotchi, które można było dostać praktycznie w każdym osiedlowym kiosku, a teraz można je znaleźć na półce z innymi sprzętami multimedialnymi w kosmicznych cenach. Mimo wszystko nie te zabawy wspominam najlepiej. Najwięcej frajdy sprawiało ganieanie po podwórku w wystużonych dresach i nasz mały uliczny handel jabłkami z sadu bądź tak zwaną przez nas lemoniadą, która była niczym innym jak zwykłym zagęszczonym sokiem z owoców produkcji dziadka, rozcieńczonym wodą. Ile było frajdy, kiedy okoliczne dzieciaki biegały w tę i z powrotem kupując nasze specjaty za symboliczną (a wtedy dla nas duże pieniądze) złotówkę. Aby wrócić choć na chwilę do tych momentów, wybrałam się do kina na ekranizację książki Astrid Lindgren "Dzieci z Bullerbyn". Ten szwedzkiej produkcji film z 1986 roku w reżyserii Lasse Hallström sprawił, że znów weszłam w skórę dziewczynki z palmą na głowie, umorusaną ziemią z podwórka. Przygody dzieci rozgrywają się w małej, szwedzkiej wiosce Bullerbyn, w której są zaledwie trzy zagrody, gdzie wszyscy się

znają. Moją osobistą sympatię do filmu wzmaga właśnie wizja wioski, z przepięknymi polnymi krajobrazami, z sielskim klimatem. Lisa, Britta, Anna, Olle, Lasse i Bosse nie znają tabletów i gier komputerowych, ba, nie znają nawet telewizji. Dzięki bogatej wyobraźni przeżywają na codzien niezwykle przygody, przez które często wpadają w małe tarapaty, z których jednak zawsze udaje im się wywinąć. Spanie w stodole na sianie, plewienie rzepy, zdobywanie wyspy odkrywców na stawie, to tylko nieliczne z zabaw gromadki. Film pokazuje jak może wyglądać szczęśliwe, beztroskie dzieciństwo, o które we współczesnym świecie wydaje się być coraz trudniej. Ukazuje też siłę prawdziwych relacji między rówieśnikami. Dzieciaki z Bullerbyn wysyłają sobie listy przez sąsiadujące okna, nie muszą się umawiać, ani dzwonić do siebie w celu spotkania. Czas spędzony wspólnie jest czasem nieocenionym, liczy się każdy pomysł, radość z drobnych, prostych rzeczy. Droga po zakupy w pobliskim sklepie staje się okazją do stworzenia piosenki. Obcowanie z przyrodą odgrywa bardzo ważną rolę w codziennym życiu dzieci. W filmie zobaczymy też jak ludzie z małej, szwedzkiej wioski celebrują tradycje i okoliczne święta, jak od dzieciństwa wpajane są dzieciom najważniejsze wartości, normy i zasady, które wciąż są aktualne. Łezka kręci się w oku, kiedy myślę o swoim dzieciństwie, beztroskim czasie zabawy, pomysłów i nawiązywania pierwszych przyjaźni. Mimo upływu lat, postępu technologii, pielęgnuję w sobie wspomnienia tamtych chwil.



Magdalena Herman



## Spis ilustracji

- okładka - Davide Regusa/unsplash.com  
strona 4 - Markus Spishe/raumot.com  
strona 6 - okładka książki „To nie są moje wielbłądy”, projekt Fajne Chtopaki, © wydawnictwo Czarne 2015  
strona 9 - okładka książki „Nieżnośna lekkość bytu”, © wydawnictwo W.A.B.  
strona 11 - okładka książki „Górny Śląsk - świat najmniejszy”, © Dom Współpracy Polsko-Niemieckiej  
strona 12 - Aleksandra Mtyńska  
strona 13 - Aleksandra Mtyńska  
strona 14 - Ryan McGuire/gratisography.com  
strona 17 - Katarzyna Koza  
strona 18 - JayMantri/pixabay.com  
strona 23 - LucasF270/pixabay.com  
strona 24 - okładka płyty „Love To Be Lost”, © Hostess Entertainment Unlimited  
strona 26 - okładka płyty „Mary Komasa”, © Warner Music Poland  
strona 28 - okładka płyty „Wij”, © Warner Music Poland  
strona 29 - okładka płyty „Fever Ray”, © Rapid Records  
strona 30 - Siyan Ray/unsplash.com  
strona 33 - caixadeluz/flickr.com  
strona 34 - oficjalny plakat filmu „Whiplash”, © Sony Pictures Classics  
strona 38 - oficjalny plakat filmu „Zapaśnik”, © Fox Searchlight Pictures  
strona 39 - Robert Cause-Baker/flickr.com  
strona 42 - plakat do filmu „Superwoman”, © TriStar Pictures; plakat do filmu „The Mole People”, © Universal-International  
strona 43 - Kamila Latała  
strona 45 - © Shaft; © Madhouse  
strona 48 - Włodi/flickr.com  
strona 49 - screen z gry „Life is strange”, © Square Enix  
strona 51 - okładka gry „Crusader Kings II”, © Paradox Interactive  
strona 52 - Kenneth Lu/flickr.com  
strona 54 - Hans Braxmeier/pixabay.com  
strona 57 - rzxtion/flickr.com

# PLATZ

magazyn kulturalny

Jeszcze więcej znajdziecie na:



[magazynplatz.weebly.com](http://magazynplatz.weebly.com)



[facebook.com/magazynplatz](https://facebook.com/magazynplatz)